

St. Kopeć

O KSIĘDZU PREFEKCIE KRAJEWSKIM (1864 — 1867)

Był to i tęgi kapłan i tęgi Polak, który dzielnie, nie oglądając się na siebie bronił wiary i polskości. Wyszło to na jaw przy pierwszym nacisku, dążącym do zniesienia świąt naszych.

Całe bodaj gimnazjum, nie zważając na ostre nakazy i groźby, do szkoły nie poszło. Zwołano nas wszystkich do owej sali rekreacyjnej, którą później przerobiono na cerkiew i sam zwierz istotny, późniejszy tępicieł unji, dyr. Kryżanowski, wystąpił z wielką przemową, w której szczególnie gromił ks. Krajewskiego, jako przypuszczalnego inicjatora tego gremjalnego nieposłuszeństwa. Ksiądz wysłuchawszy spokojnie dzikich oracji, ukłonił się grzecznie i wyszedł, i dobrze zrobił, bo zajadły rusyfikador chociaż może umyślnie sprowokować jaką awanturę, któraby później usprawiedliwiała rozmaite niecne zapędy.

W najbliższą niedzielę ks. prefekt na wotywie wygłosił kazanie, w którym wskazał na obowiązki, jakie na nas ciążyą, przepowiadał ciężkie czasy, lecz zachęcał do wytrwałego i spokojnego oporu.

Przy ostatecznem zruszczeniu gimnazjum został usunięty z innymi nauczycielami Polakami.

Przypisek Red. O działalności dyrektora okręgu Sie-dleckiego Kryżanowskiego znajdują się wyczerpujące choć jednostronne dane w książce p. t. „Russkoje Zabuzje

(Chołmszczyzna i Podlasze. Sbornik statiej E. M. Kryżanowskago z predisłowjem I. P. Filewicza. SPt. — 1911 r.

Prefektami w Gimnazjum Siedleckiem po księdzu Alfonsie Rempalskim (1862—1863), aresztowanym i zesłanym za udział w powstaniu, oraz księdzu Krajewskim (1864—1867) byli kolejno: Ks. Struś (1867—1869), Ks. Szyszkowski (1869—1876), Ks. Wawrzyniec Brzozowski (1876—1885), ponownie Ks. Szyszkowski (1885—1895), Ks. Adam Dubiszewski (1895—1902) i Ks. Skwara (1903—1905).

Ostatnim prefektem z nominacji biskupa był ksiądz Szyszkowski, inni byli wyznaczani przez kuratora i o wyborze biskupi byli tylko zawiadamiani.

kłopotu i przykrości własni jego dwaj synowie, leniuchy i wielcy zbytnicy, koledzy moi klasowi. Nie tylko że sami dokuczali, lecz i nas pobudzali do różnych figli.

Nauczycielem kaligrafji i rysunków był Kozarski który podobno oddawał się i malarstwu.

Francuski język dawał francuz, niemieckiego niemiec. Każdy uczeń był obowiązany wybrać i uczęszczać na lekcje jednego z tych dwóch języków. Nie ręczę czy nie pominąłem którego z naszych nauczycieli. Czasy takie odległe.

Lekcji muzyki na fortepianie i skrzypcach udzielał poczciwy oryginał, wielki amator piesków pokojowych, dziwnie wstydlivy i zażenowany własną osobą, Gaszyński, człowiek w podeszłym wieku, którego niestety byłem nieudolnym uczniem przez blisko dwa lata. Kursowała o nim anegdota, zdaje się prawdziwa, odnośnie jego iście niewieściej wstydlivosti. Zaproszony przez jednego z okolicznych ziemian na zebranie towarzyskie z paniami, Gaszyński wraz z dalszymi sąsiadami pozostał dawnym obyczajem na noc. Dwór nie był obszerny, więc po kilku mężczyzn spało w jednym pokoju. Następnego dnia, po obudzeniu się, goście, leżąc jeszcze w łózkach, rozpoczęli ożywioną gawędę. Zauważono, że Gaszyński mały bierze udział w rozmowie i pod kołdrą w ciągłym jest ruchu. Wreszcie odchyliła się kołdra i Gaszyński wyszedł na pokój we fraku, kompletnie ubrany.

Liczba uczniów w klasie, jakoteż ich wiek nie były ograniczone. W 1-szej klasie było nas 108-iu, w 2-iej 112-stu. Stopniowo liczba zmniejszała się w następnych klasach. Gimnazjum liczyło mniej więcej 500 uczniów. W 1-szej klasie mało nas było 10-cio letnich chłopców, zato miałem kolegów młodzieńców 18-sto letnich, wyrosniętych, dobrze zbudowanych i nawet siłaczy, którzy przed rozpoczęciem lekcji dawali nam nieraz w klasie gratisowe przedstawienia przyjacielskie, świadczyć mające o ich sile i zręczności. Każdy z siłaczy miał w gronie widzów swoich stronników. Robiono nawet zakłady, których uwieńczeniem były ciastka,

lub makagigi, kupowane u tak nazwanej ciastkowej, krążącej z koszykiem koło gmachu gimnazjalnego.

Uczniowie rekrutowali się przede wszystkim z okolicznej drobnej szlachty, pracującej na własnej roli, lub w rzemiosłach, oraz na skromniejszych stanowiskach w administracji po folwarkach, również w administracjach państwowych i komunalnych. Poważniejszy kontyngent uczniów dostaczała jeszcze inteligencja, pracująca zawodowo w miastach i na prowincji. Dalej szli synowie ziemian (przeważnie wysyłani do szkół warszawskich), wreszcie synowie zamożniejszych włościan. Przy tym składzie uczniów łatwo zrozumieć, że względnie znaczny ich procent nie kończył gimnazjum z maturą, poprzestając na skończeniu paru, lub kilku klas, żeby móc możliwie prędko zająć się pracą zarobkową. W każdym razie oświata i kultura rozszerzały się. Nas dwóch — Roman Hejdukowski i ja, skończyliśmy jednocześnie, idąc razem od 1-szej klasy, gimnazjum z maturą po siedmiu latach nauki, a i nagrody nie były nam obce. Mówiono mi, że Hejdukowski został doktorem medycyny. Sam zaś skończyłem instytut wyższy handlowy w Antwerpji.

Powyższe służyć może za dowód, że ciało nauczycielskie, na ogół bardzo wyrozumiałe i sprawiedliwe, wymagało od uczniów, przy promowaniu do wyższej klasy, odpowiedniego uzdolnienia, w przeciwnym razie pozostawiało ich w tej samej klasie na drugi, a nawet i na trzeci rok.

Oprócz wyżej już wspomnianych zajęli zaszczytne miejsca w piśmiennictwie Klemens Junosza Szaniawski i kolega mój Adam Szymański. Zapowiadał się obiecująco kolega mój Świeszewski, który, jako student wydziału matematycznego na uniwersytecie warszawskim, napisał rozprawę konkursową, za którą otrzymał nagrodę. Niestety, zmarł przedwcześnie na suchoty, będąc jeszcze studentem. Bardzo dobrze przeszedł gimnazjum już nieżyjący młodszy mój brat Marjan z nagrodami i medalem złotym. Skończył wydział chemiczny na politechnice w Rydze. Osiadł wresz-

cie na roli, gospodarował i brał czynny udział w sprawach społecznych.

Jednogodzinnych lekcji mieliśmy sześć dziennie, które, po uczniowskiej Mszy świętej w kościele, rozpoczynały się o dziesiątej. Po dwunastej była kilkunasto-minutowa przerwa na drugie śniadanie. Każda lekcja dzieliła się zwykle na trzy części. W pierwszej nauczyciel egzaminował na wyrywki uczniów z tego co było przedtem zadane; w drugiej wykladał ciąg dalszy; w trzeciej przez żądawane pytania uczniom sprawdzał, czy uważali, zrozumieli i zapamiętali to, o czym przed chwilą mówił. Ten sposób nauczania chronił pilnych uczniów od ślęczenia i kucia z podręczników w domu.

Stosunek społeczeństwa do ciała nauczycielskiego i uczniów oparty był na szczerej życzliwości wzajemnej. W materjały piśmienne zaopatrywał nas jedyny sklep chrześcijański wdowy Białostockiej na rogu ulicy Warszawskiej i Sądowej.

Józef Jastrzębski

GARŚĆ WSPOMNIEN

(1862 — 1871).

Gdym zdawał do 1-ej klasy Gimnazjum Siedleckiego wymagano: czytania i pisania (pod dyktando) po polsku, z religji — katechizmu, z arytmetyki — 4 działania. Dyrektorem był Palicki, który wkrótce po powstaniu otrzymał emeryturę, zastąpił go Dębicki, stopnie stawiano od 1 do 5-ciu *).

Lekcje odbywały się od 8 do 12 i od 2 do 4. W sobotę tylko do 12-ej.

W roku 1865 zaczęto wprowadzać język rosyjski, tak że po dwóch latach wszystkiego już uczono po rosyjsku.

Nauczycieli polaków przenoszono. Pozostał najdłużej Krzywicki, który już po rosyjsku wykładał arytmetykę. W końcu i jego usunięto. Przy tej zmianie języka nieco uczniów usunęło się, znaczna większość pozostała.

Ohrymowicz w owym czasie wykładał historję. Wykład jego był jasny, bezstronny, często śmiały. Wszedł on w towarzystwo polskie.

W roku 1878 został aresztowany w Warszawie Adam Szymański, którego często odwiedzałem.

Był on członkiem organizacji konspiracyjnej świeżo założonej, systemem piątkowym, jak w czasie powstania (każdy znał pięciu, z tych każdy znowu pięciu i t. d.).

Chciano skorzystać z kłopotów Rosji, spowodowanych

*) W okresie 1867 — 73 — stopnie stawiano od 1 — 3, następnie od 1873 (reformacja Tolstoja) wprowadzono znowu stopnie od 1 — do 5.

wojną turecką i wystąpić z żądaniem przywrócenia języka polskiego w szkołach, sądownictwie i administracji. Ruch w tym kierunku rozpoczął się w Galicji, na czele jego stał Adam Sapieha, tak zwany „czerwony książę”.

Po aresztowaniu Szymańskiego, w Siedlcach aresztowano tych wszystkich, z którymi Szymański znajomił się.

W ten sposób zostali aresztowani Jastrzębski, Olędzki, Wróblewski, Pasznicki i Obuchowski, lecz dla braku dowodów po paru miesiącach wszystkich wypuszczono.



Maturzyści r. 1878.

Siedzą: *Marek Borkowski, Makowielski, Bronisław Sawicki.*
Stoją: *ś. p. Ludwik Rabek, ś. p. Adolf Bitner, ś. p. Bronisław Laskowski i ś. p. Bonifacy Czerski.*

Intulal ks. dr. Karol Dębiński

GIMNAZJUM SIEDLECKIE W LATACH 1870 — 1877

W 1870 roku ojciec mój zawiózł mnie do Siedlec, gdzie miał zdać egzamin do kl. I gimnazjum rządowego. Było to w połowie sierpnia nowego stylu. Pamiętam, że był to dzień piękny, pogodny, słoneczny. Przed dużym jednopiętrowym gmachem, otoczonym częściowo wysokim murem, a częściowo żelaznymi sztachetami, ujrzałem sporą gromadę podobnych mnie malców i nie mniejszą ludzi starszych płci obojga: to przyszli moi koledzy i ich rodzice. Czekaliśmy dosyć długo; wreszcie otworzono ciężką żelazną kratę i wpuszczono nas na korytarz pierwszego piętra, skąd pojedynczo wzywano do jednej z sal, w kątach której nauczyciele kandydatów do granatowego mundurka i takiegoż z białymi kancikami kepi egzaminowali z religji, rosyjskiego języka i arytmetyki. Egzamin odbywał się po domowemu, bez zbytnej formalistyki, to też po większej części odpowiadaliśmy śmiało i trafnie. Nauczyciel p. Grzegorz Solskij w ciągu kilku minut wyegzaminował mnie z rosyjskiego, p. Trusiewicz — z arytmetyki, a ks. Konstanty Szyszkowski z religji i ku mojej wielkiej, a ojca nie mniejszej radości, wraz z 94 malcami, zostałem zaliczony w poczet uczniów I klasy Gimnazjum Siedleckiego. Ojciec kazał mi zrobić mundurek i szynelkę, kupił mi ładne kepi, zeszyty i książki, najął stancję u p. Kibersztowiczowej przy ulicy Prospektowej i zaczęła się tak upragniona wówczas, a później nieraz gorzkimi łzami oblewana, nauka.

Za moich czasów gimnazjalnych, osławionych później

„internatów“, czyli stancji rządowych nie było. Zarząd gimnazjalny wskazywał wprawdzie stancje, utrzymywane przez upoważnione do tego Polki, przeważnie wdowy, ale stancji tych było tak dużo, że było w czym wybierać. Uczniowie grupowali się na stancjach według zamożności i pod tym względem stancje siedleckie można było podzielić na trzy grupy. Do I grupy zaliczam stancje, gdzie uczniowie płacili za mieszkanie z usługą, całodziennem utrzymaniem, światłem i opałem od 120 do 200 rubli rocznie. Takich było nie wiele, mieszkali zaś na nich synowie obywatelscy i wogóle dzieci ludzi bogatszych. II grupa — to stancje mieszane: płacono za mieszkanie, opał i gotowanie jedzenia 15 rubli rocznie, a nadto dawano gospodyni na ucznia rocznie: 9 garncy mąki pszennej i po tyleż kaszy jęczmiennej, gryczanej i jaglanej, oraz po 2 korce ziemniaków, 20 funtów słoniny i 10 złotych kwartalnie na mięso. Chleb, herbatę, cukier uczeń sam sobie kupował i używał w miarę potrzeby. Czyszczenie ubrania, butów, ślanie łóżka — należało do ucznia. Na takich stancjach mieszkali synowie zamożniejszej drobnej szlachty, oficjalistów dworskich i rzemieślników. Tych stancji było najwięcej. Wreszcie do grupy III należały stancje, gdzie gospodyni płaciło się tylko za mieszkanie z opałem i ugotowaniem rubla miesięcznie, leguminę zaś każdy uczeń miał swoją w skrzyni pod łóżkiem. Codziennie rano, przed pójściem do klasy, każdy pensjonarz wydawał gospodyni trochę kaszy, kilka kartofli, kawałek słoniny, trochę mąki, kilka groszy na mięso, a gospodyni gotowała mu z tego obiad, czy też kolację. Na stancjach tego rodzaju mieszkali przeważnie synowie kmieci i bardzo ubogiej drobnej szlachty. Wszystkie te prowjanty, tak na stancjach II, jak i III grupy, od czasu do czasu przywozili uczniom rodzice w długich woreczkach, podobnych do nogawicy od spodni i stąd między drobną szlachtą utarło się następujące określenie ilości żywności, potrzebnej dla jednego ucznia na rok:

Portka mąki, portka kaszy, pas słoniny,
Na cały rok leguminy.

Uczniowi na stancji dwóch ostatnich grup wolno było zająć tyle miejsca, ile było potrzeba dla umieszczenia łóżka, kuferka, stolka i czasami stolika. Każdy nad łóżkiem zawieszał obrazek święty i półkę z książkami. Na wielu stancjach uczniowie pod przewodnictwem starszego kolegi odmawiali pacierz wspólnie rano i wieczorem. Kradzieże na stancjach były bardzo rzadkie, to też ani jednej przypomnieć sobie nie mogę. Miewaliśmy kolegów tak ubogich, że wcale nie mieli stancji. Ci sypiali z zamożniejszymi na jednym łóżku i dzielili się z nimi pożywieniem. Pomaganie takim biedakom było obowiązkiem wszystkich kolegów, spotykało się zaś ich tylko do klasy IV, później bowiem utrzymywali się z korepetycji, za którą płacono im od rubla do trzech rubli miesięcznie od jednego ucznia za pomaganie we wszystkich przedmiotach.

Dozór nad stancjami był urządzony w ten sposób, że na każdej był „starszy uczeń”, wybrany przez inspektora gimnazjum. On pilnował porządku i prowadził dziennik, za co na stancjach liczniejszych dostawał od gospodyni mieszkanie i całkowite utrzymanie; on codziennie zapisywał do dziennika wyjścia kolegów na miasto po godzinie 6 wieczorem w zimie, a po 8 w lecie, oraz przyczyny nieobecności ich w klasie. O ile uczniów, wychodzący ze stancji na miasto w godzinach zabronionych, był odnotowany w dzienniku z oznaczeniem czasu i przyczyny wyjścia, oraz godziny powrotu, nie był za to karany, choćby go kto z inspekcji gimnazjalnej spotkał na ulicy. Dziennik kontrolował inspektor, u którego składało się go w sobotę, a odbierano w poniedziałek. Stancje od czasu do czasu nawiedzał inspektor, nauczyciele, ks. prefekt i pomocnicy klasowych gospodarzy. Za miasto uczniom pojedynczym wychodzić nie było wolno; do teatru również bez pozwolenia władzy gimnazjalnej nie chodziliśmy. Po roku 1874 zabroniono nam mówić po polsku na stancjach i na ulicach, a także czytać książki polskie.

Wpis w gimnazjum siedleckiem podówczas był mały,

bo 12 rubli rocznie, stancje, jak widzieliśmy, zastosowane do zamożności ucznia, do klasy przyjmowano po stu malców, — to też nie tylko drobna szlachta podlaska ale i włościanie dzieci swe do gimnazjum licznie posyłali. Synów obywatelskich między nami stosunkowo było niewiele, rosjan także bardzo mało, a żydów zaledwie kilku. Z kolegami rosjanami, o ile nie byli zausznikami władzy gimnazjalnej, żyliśmy dobrze, ale bo też tacy rosjanie byli nie mniej od nas gnębieni, jako „opolaczywszijesia”, kto bowiem z nich nie donosił, że czasem któremu z nas wyrwało się jakieś słowo polskie, lub że miał odpis jakiegoś wierszyka Mickiewicza lub Krasińskiego, ten w pojęciu naszych wychowawców już „opolaczył się”. W pierwszych latach mego pobytu w gimnazjum we wzajemnych stosunkach między uczniami nie było zbyt wyraźnego podziału na klasy. Prawda, że pewne współzawodnictwo istniało, ale rozciągało się ono tylko do tego, że uczniowie danej klasy nie pozwalali uczniom klas innych, nawet wyższych, wchodzić do swej klasy pod karą „trzepania”, była to jednak swawola dziecinna, praktykująca się tylko w czterech klasach niższych. Po za tem uczniowie klas wyższych urządzali z kolegami klas niższych wspólne zabawy, np. co sobota palanta na placu wojskowym, naprzeciw więzienia. W palancie zwykle rej wodzili koledzy starsi, a brało w niem udział po sto i więcej osób.

Czasem palant kończył się walką z żydkami, w której nie tylko rozdawało się, ale i odbierało guzy. Nie myśmy walki takie rozpoczynali, bo na to nawet nie pozwoliliby nam nasi starsi koledzy, lecz rozpoczynali ją żydziaki, którzy w szabas, przed wieczorem, w znacznej liczbie wychodzili na spacer na szosę warszawską i, jeśli spostrzegli przewagę po swojej stronie, rzucali w nas kamieniami. My broniliśmy się tylko.

Ostatni raz brałem udział w takiej walce, gdym był w drugiej klasie. Jak zwykle w sobotę po południu stanęło nas na placu wojskowym do palanta kilkudziesięciu. Pogoda była piękna. Zajęci grą, nie zauważyliśmy, że na szo-

sie warszawskiej zebrało się paruset żydziaków. Spostrzeżliśmy ich dopiero wtedy, gdy jeden i drugi z nas dostał kamieniem. Rozumie się, że w tej chwili rzuciliśmy się na nich z palantami, lecz niewiele zrobić im mogliśmy, bo palanty własne posiadali zaledwie niektórzy, kamieni na placu, oprócz rzuconych na nas przez żydziaków, nie było, a na każdego z nas następowało kilku mężnych krzykliwych wojaków, którym amunicji na szosie zabraknąć nie mogło. Otoczyli nas tedy ze wszystkich stron i hojnie darzyli razami. Czemyby się to było skończyło, nie wiem, ale w żadnym razie nie bylibyśmy wyszli z boju zwycięzcami, bo izrael co raz bardziej zapalał się do walki, a myśmy byli nieliczni i prawie bezbronni. Nagle w szeregach rycerzy palestyńskich, zajmujących nam tyły, od strony koszar, na placu stojących, wśród naszych napastników rozlega się okropny wrzask i w niewypowiedzianym popłochu zaczynają się oni cofać ku szosie. Okazało się, że to żołnierze rosyjscy, którzy przez okna koszar przypatrywali się walce, zobaczywszy nasze trudne położenie, przyszli nam z pomocą z kijami, z nahajkami, pasami rzemiennymi i t. p. bronią zaczepno-odporną. Zawrzała walka jeszcze zaciętsza, i gwałtownie zaczęliśmy przeciw żydziaków na szosę. Naraz spostrzeżliśmy, że cały plac boju, wraz z walczącymi stronami, został otoczony łańcuchem uzbrojonego wojska, którego ogniwa zaczęły się szybko z sobą łączyć. Ręce opadły, walka ustała, a w głowie niemiłosiernie zaczęła świdrować myśl: co teraz będzie? Na odpowiedź na to pytanie nie czekaliśmy długo. Spostrzeżliśmy, że między ogniwami łańcucha przeslizgują się nasi sprzymierzeńcy, żołnierze. Któryś z nas chciał pójść za ich przykładem, lecz gdy się zbliżył do łańcucha, i zobaczył karabiny z nałożonymi bagnętami, oraz surowe twarze ogniów łańcucha, zabrakło mu odwagi i zatrzymał się, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Najniespodziewaniej jedno z najbliższych ogniów groźnie krzyknęło: „czego się gapisz, zmykaj!” Rozumie się że nie czekał, by mu to drugi raz powtórzono i jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie łańcucha, a my uważaliśmy za właściwe już

bez zachęty pójść w jego ślady. Gdy ogniwa łańcucha ściśle się z sobą zwały, w środku okazały się tylko same żydziaki i ich to w triumfie poprowadzono do miasta i umieszczono tymczasem na odwachu, my zaś, którzydy kto mógł, uciekaliśmy tymczasem do domu i z niebywałą gorliwością braliśmy się do książek i zeszytów.

Dopiero dni następnych dowiedzieliśmy się o przyczynie tego niebywałego zajścia. Oto podczas trwania walki gubernator siedlecki szosą warszawską wracał ze spaceru. Rzucony przez walczących kamień rozbił szybę w karecie. Następstwem tego było wysłanie wojska na plac boju i zagarnięcie żydziaków.

Prowadzono surowe i nader ściśle śledztwo, które jasno jak na dłoni wykazało, że ani uczniów, ani pomagających im żołnierzy na placu wcale nie było. Ot żydziaki, najadłszy się w szabas kugla i innych smakołyków, wszystko to zanadto podleli pejsachówką i przyszli na plac, by dla zdrowia pobrykać sobie trochę. Całą sprawę pejsaci ojcowie miasta zasmarowali rublami i wszystko ucichło.

Odtąd zaprzestaliśmy grywać w piłkę na placu wojskowym, a przynajmniej nie występowaliśmy do gry w takich wielkich masach, gdyż zabrakło nam przewodników, starsi bowiem koledzy, pod presją nauczycieli, co raz mniejszy brali udział we wspólnych zabawach. Być może, że opisane zajście przyczyniło się do tego w jakiejś maleńkiej części, ale, zdaje się, że nasi wychowawcy, wykopali tę przepaść między młodszymi a starszymi kolegami, dlatego że spostrzegli dodatni wpływ uczniów starszych na młodszych, którego sobie nie życzyli i który zniszczyć postanowili. Wszak już Adam Szymański, późniejszy sybirak, autor „Szkieł”, syberyjskich, zaczął akcję szerzenia między kolegami oświaty w duchu narodowym polskim. Często z palanta lub z ekstry wracało się do domu z broszurą historyczną lub z jakimś utworem naszych wieszczów nie wiadomo przez kogo do kieszeni wetkniętym. Broszurę, po przeczytaniu, a poezję, częstokroć po odpisaniu lub nauczeniu się jej na pamięć, podawało się dalej. Usiłowano więc

wznieść mur chiński między uczniami młodszymi i starszymi, to jednak nie udało się i idei uświadamiania narodowego nie potrafiono stłumić. Starsi koledzy nie przestali czuwać nad młodszymi, dokąd ich wreszcie, jako członków, nie wprowadzili do tajnych kół samokształcenia się, których jednak za moich czasów jeszcze nie było. W ten sposób od dzieciństwa rozwijało się w nas życie konspiracyjne. Walk więc jawnych w wielkim stylu z żydźkami już nie było, ale nie można powiedzieć tego, że między nami i nimi panowały stosunki idealnie przyjacielskie. Chyba nie było wypadku, żeby żydźka, spotkawszy ucznia na ludnej ulicy, przy wymijaniu się nie pozdrowił go uprzejmem powitaniem: „ty kapuśniak”, a uczeń, odwiedzając się, nie wsunął mu sółki pod żebro w bezludnym kącie.

Ponieważ prawie wszyscy z pod rodzinnej strzechy wynosiliśmy zdrowe zasady religijne, ożywiał nas duch katolicki, jednakże po 1875 roku w wyższych klasach zaczął się szerzyć pozytywizm, przynoszony przez uczniów, przychodzących do nas z innych, szczególnie warszawskich gimnazjów. Co więcej między uczniami rosjanami już zaczął się pokazywać nihilizm.

Wprawdzie regulowanie codziennego życia siedlczan poruczono zegarowi, umieszczonemu na wieży miejskiej u stóp poczciwego Jacka; życie jednak szkolne, widocznie ze względu na to, iż zegar miejski należał do ministerstwa spraw wewnętrznych, a nie do ministerstwa oświecenia publicznego, regulował dzwonek, zawieszony na gmachu gimnazjalnym. Dzwonek ten codziennie od godziny 8½ przez cały kwadrans piskliwym głosem wzywał nas na lekcje, powtarzając, jak twierdzili złośliwi, zwrotkę:

Do szkoły, bachory,
Do klasy, bilbasy.

Rozumie się, że taki przekład zewu dzwonka gimnazjalnego na język ludzki jest nie tylko złośliwy, ale z gruntu fałszywy, choćby z tego względu, że nie tylko nas, ale

i dzwonek, jako należący do całości zespołu gimnazjalnego, obowiązywał przepis, zabraniający używać języka polskiego, a więc, gdyby był odzywał się do nas po polsku, byłby surowo ukarany, może nawet relegowaniem z jego wysokiego stanowiska do składu starych rupieci. W każdym razie na jego głos, jak pszczoły z uli, wysypywaliśmy się ze stacji na ulicę, wpadaliśmy na pacierz do kościoła i pędziliśmy co tchu do gimnazjum. Przed pierwszą lekcją i po ostatniej dyżurny zwrócony twarzą do kąta, w którym była zawieszona „ikona“, odmawiał głośno modlitwę po słowiańsku, a inni stali milcząc.

Pięćdziesięciopięciominutowe lekcje ciągnęły się od godziny 9 rano do g. 2½ po południu. Od g. 12 do 12½ była duża pauza. Różni różny robili z niej użytek: jedni po spożyciu nabytych od starej jak świat żydówki Ity, siedzącej z koszami przy bramie głównej, paru czerstwych ciastek lub świeżych kajzerok, grali w piłkę na pustym placu przed gimnazjum, gdzie obecnie jest skwer miejski; drudzy powtarzali lekcje, a jeszcze inni przepisywali od kolegów niezrobione w domu zadania. Wreszcie rozlegał się przenikliwy głos dzwonka, potrząsanego władną ręką pedala Podnieśńskiego; szybko znikaliśmy w bramie gmachu i rozpoczynały się znowu lekcje, które trwały do godziny 2½ po południu. Lekcje wprawdzie kończyły się o godzinie 2½, ale nigdy o tej godzinie wszyscy nie opuszczaliśmy gmachu gimnazjalnego, gdyż zawsze w niższych klasach znajdowali się męczennicy nauki i zwolennicy swobody osobistej, którzy za nienauczenie się lekcji lub za wejście w kolizję z krępującymi indywidualizm przepisami regulaminu szkolnego, na godzinę lub dwie pozostawali w kozie pod opieką osławionego Swirniuka. Za takie jednak przestępstwa, jak mówienie po polsku, posiadanie wyciągów z „Pana Tadeusza“ — Mickiewicza i t. p. o ile nie wylatało się z gimnazjum z wilczym biletem lub bez niego, doświadczało się siły ręki pedala Podnieśńskiego, albo w najlepszym razie odsiadywało się po kilka godzin kozy w niedziele i święta.

Święta obchodziliśmy potrójne: katolickie, prawosław-

ne i państwowe, a właściwie carskie, galówkami zwane. W niedziele i święta katolickie o godzinie 8½ rano zbiegaliśmy się do gimnazjum i stąd przed g. 9 parami, pod przewodnictwem ks. Prefekta, szliśmy do kościoła św. Stanisława na Mszę Św. Jeśli ktoś nie był w kościele, obowiązany był zaraz na pierwszej lekcji Religji zawiadomić o tem ks. Prefekta i wyjaśnić przyczynę swej nieobecności. Na galówki prowadzono nas początkowo do kaplicy unickiej, znajdującej się w wielkiej sali gimnazjalnej, a później, kiedy około 1875 r. kaplicę zamknięto, do nowozbudowanej cerkwi prawosławnej. Trwało to jednak bardzo krótko, gdyż i my po drodze uciekaliśmy we wszystkie podwórza, tak że do cerkwi doprowadzano zaledwie prawosławnych, i ks. Prefekt przeciw naszej bytności na nabożeństwach prawosławnych energicznie protestował. Skończyło się na tem, że na galówki chodziliśmy do kościoła, a w święta cerkiewne byliśmy zupełnie wolni.

Ulubionem naszym nabożeństwem było nabożeństwo majowe. To też w maju nie tylko zapelnialiśmy kościół parafjalny, ale nadto bywaliśmy na tych nabożeństwach, odprawianych w domach prywatnych, przed umyślnie w tym celu urządzanymi ołtarzykami Matki Boskiej, nap. u państwa Rylle, w piętrowym domu drewnianym, dotąd jeszcze przy ulicy Florjańskiej istniejącym.

Obowiązkową spowiedź wielkanocną poprzedzały rekolekcje trzydniowe, odprawiane w gimnazjum pod kierownictwem ks. Prefekta, któremu w tym wypadku wolno było jawnie mówić po polsku. Innym księżom nie wolno było brać w rekolekcjach udziału. U spowiedzi bywali wszyscy uczniowie.

Między kolegami mieliśmy bardzo wielu unitów, boć przecież i samo gimnazjum nosiło kiedyś nazwę greckokatolickiego. Gdy więc rząd rosyjski zaczął nawracać unitów na prawosławie, prześladowanie to bolesnem echem odbiło się i na naszej uczelni, nieraz bowiem, nawet wtedy, gdy rodzice ulegli nahajkom i „dobrowolnie” przyjęli pra-

wosławie, ich synowie, koledzy z II lub III klasy, wręcz oświadczyli, że prawosławnymi nie będą. W takich razach, nie tylko dyrektor Ponomarow i inspektor Abramowicz, ale nawet pop prawosławny Czamow, po paru nieudanych perswazjach, usuwali się na bok, a na scenę występował Iwan Iwanowicz Swirniuk, jak mówiono, były braciszek z klasztoru bazyljańskiego w Galicji, a więc b. unita, katolik. Pochwyconą w swe szpony ofiarę naprzód okłamywał, że rodzice i rodzeństwo jej już dawno są prawosławnymi, później łudził obietnicami łatwej promocji, nagrody, stypendjum i t. p., a gdy to wszystko nie pomagało, straszył chłostą i wydaleniem ze szkoły. Czy Swirniuk używał względem opornych przymusu fizycznego, nie wiem, jednak wszyscy wiedzieliśmy, którzy z kolegów za nieprzyjęcie prawosławia zostali z gimnazjum relegowani lub, zmęczeni znęcaniem się nad nimi Iwana Iwanowicza, sami szkołę opuścili. Do takich między wielu innymi należeli: Karwacki Andrzej, Telakowski, Antulski Bolesław, Bałkowiec Ignacy, Zatkalkowie i wielu, wielu innych. Cześć młodocianym bohaterom!

Ja żadnego nauczyciela polaka z wyjątkiem ks. prefekta już nie zastałem w gimnazjum siedleckim. Wszystkie przedmioty były wykładane po rosyjsku, a na korytarzu, tuż przy schodach wisiała tablica z napisem: „uczeni i służaszczije dołżny goworyt' tolko po ruski“. Zakaz ten początkowo odnosił się tylko do murów uczelni, później objęto nim ulicę, w końcu usiłowano rozciągnąć go do całego życia naszego. Rusyfikacja więc uczniów nie tylko się rozpoczęła, lecz nabierała coraz większego rozpędu.

Personel nauczycielski, o ile pamiętam, składali: ks. Konstanty Szyszkowski, prefekt, Czamow, pop prawosławny, pp. Ponomarow początkowo inspektor, a później — dyrektor, Abramowicz — inspektor, Siemionowicz i Baczyński — nauczyciele łaciny, Domański — nauczyciel greki, Solkij i Ostowierchij — nauczyciele rosyjskiego, Iwanow — nauczyciel historji, Leniczenko — geografji i przyrody, Dufur — francuskiego, Osipow — rysunków i kaligrafji, no

i Iwan Iwanowicz Swirniuk — polskiego i niemieckiego. Później nauczyciele zmieniali się jak w kalejdoskopie. Mniemam, że przynajmniej o niektórych z nich słów kilka powinienem powiedzieć, w przeciwnym bowiem razie nie jeden punkt mego wspomnienia zostanie niejasnym.

Prawdziwie Opatrznościową dla nas jednostką był nasz prefekt ks. Konstanty Szyszkowski, wychowanek warszawskiej rz.-kat. Akademji, K. Ś. T., kapłan młody, pełen najlepszych chęci, ruchliwy i czynny. Zdolny i wykształcony, ogładał i nauką górował nad swoim otoczeniem. Żył w bliższych stosunkach tylko z lepszymi nauczycielami, a mianowicie z pp. Siemionowiczem, Trusiewiczem, Domańskim, Solskim, no i z dyrektorem Ponomarowym; — innych zawsze trzymał od siebie w przyzwoitej odległości, ale swoją wyższością grubo im imponował. Nawet taki Abramowicz łasił się przed nim i poskramiał wybuchy swej ruskiej natury. Co prawda, to i ta okoliczność, iż w każdej potrzebie mógł liczyć na poparcie dyrektora i wymienionych nauczycieli, dodawała mu powagi i śmiałości w działaniu. Ponieważ uczeń zawsze wszystko wie i słyszy nawet jak trawa rośnie, wiedzieliśmy o powadze naszego prefekta, a o jego uczoności kursowała między nami anegdotka, że w pokoju nauczycielskim zwykle z Siemionowiczem rozmawiał po łacinie lub po grecku, inni zaś nauczyciele, nawet uczący tych przedmiotów, chociaż ustawicznie do słowników zaglądali, rozmowy ich zrozumieć nie mogli. Mówił nasz ks. Prefekt ładnie, pracował sumiennie, wobec władzy gimnazjalnej zawsze zachowywał się z godnością i stawał po naszej stronie i to skutecznie, chociaż później, jak o tem wiem z własnego doświadczenia, wzywał do siebie winowajcę „na czarną kawę” i dobrze mu uszu nacierał, — to też mieliśmy doń zaufanie nieograniczone. Co on rozkazał, było dla nas świętem; nie wiem czy był wypadek, żeby uczeń przed nim skłamał. Zrobiło się coś i weszło w kolizję z inspekcją — biegło się do Prefekta i mówiło mu się całą prawdę. Prefekt fukał: „Ośle dardanelski, pójdziesz na grzyby, będziesz owce u ojca pasał, tylko zdaleka od

plotu, żeby wełny nie pogubiły, gdyż ja za takim nicpo-
niem obstawać nie myślę", ale pomimo to srebrną tabakier-
kę brał do kieszeni, w rękę laskę z gałką z kości słoni-
wej, na głowę elegancki cylinder i biegł do gimnazjum „po-
raz ostatni" wyciągać „osła dardanelskiego" z biedy. Iluż
to z nas, dzięki jemu skończyło gimnazjum i zostało poży-
tecznymi członkami społeczeństwa! Obowiązany był wykła-
dać religję po rosyjsku, ale nigdy tego nie czynił, zawsze
mówił po polsku, dyrektor zaś, by nie robić mu przykrości,
udawał, że nic nie wiedział i stronił od klasy, w której on
miał lekcję. Jednakże do czasu dzban wodę nosi! W 1876
roku przeniesiono go do Łomży. Brak jego odczuliśmy bar-
dzo. Do roku 1873 ks. Prefekt wykładał również język pol-
ski, który mu odebrano i na krótki czas oddano Swirniuko-
wi, aż wreszcie przedmiot ten zupełnie zniesiono.

Jak to nadmieniałem, dyrektorem był p. Danił Ponomar-
row, mogący mieć wówczas około pięćdziesiątki. Złym czło-
wiekiem nie był, nie znęcał się nad nami, nie dokuczał¹⁾,
wolał zawsze pomóc niż szkodzić; nie był również zaciek-
łym rusofilem, nie śledził, nie podsłuchiwał a nawet zbyt-

¹⁾ Jedno tylko wystąpienie energiczne Dyrektora przypominam
sobie. Podczas lekcji, przed dużą pauzą, zakłócił ciszę szkolną gniew-
ny głos Dyrektora i płaczący jęk uczniaka z I czy II klasy: „nie budu,
nie budu", przenikający do klas z korytarza. Po wyjściu na dużą pau-
zę, — od Ity, siedzącej z koszem bułek przy drzwiach, prowadzących
na gimnazjalne podwórze, dowiedzieliśmy się, że pan Dyrektor własną
dyrektorską ręką pociągnął jakiegoś „bardzo delikatnego panicza" do
kozy ciemnej, znajdującej się pod żelaznymi schodami, wiodącymi
na I piętro gimnazjum. Drzwi ciemnej kozy, zwanej „karcerem" wy-
chodziły na sionkę od podwórza. Kiedy koledzy przez gwiazdki we
drzwiach wycięte zapytali skazańca, kto jest, za co cierpi i jakiej po-
mocy potrzebuje, ten odpowiedział tylko na pytanie ostatnie, że okrop-
ny los jego stałby się znośniejszym, gdyby przez owe gwiazdki wpusz-
czono parę „kajzerek", albo rogalików. Ponieważ nieszczęśliwemu ni-
czego odmówić nie wolno, a tem bardziej jeśli ten nieszczęśliwy jest
kolegą i cierpi niesprawiedliwe prześladowanie od dyrektora, siedząc
w ciemnym karcerze, — bułki i rogaliki posypały się obficie; szcudrob-
liwość nasza była tem większa, że Ita, która tuż z pełnymi koszami
pieczywa siedziała, ze łzami opisywała scenę wtrącenia więźnia do

nią gorliwość Swirniuka umiał pohamować skutecznie. Nie raz ucznia, schwytanego przez Iwana Iwanowicza na gorącym uczynku mówienia po polsku, wyratował z biedy, a już zawsze starał się obniżyć karę do możebności. Oto dowód tego, co mówię. W klasie VI miałem kolegów braci U., z których jeden później był nauczycielem w jednym z gimnazjów warszawskich. Byli oni do tego stopnia ubodzy, że nawet nie mieli czem zapłacić wpisu i z tego powodu zagrożono im relegowaniem z gimnazjum. By temu zapobiec rada koleżeńska postanowiła zagrać teatrzyk wobec znajomych i z zebranych stąd groszaków opłacić za nich wpis. Wybraliśmy dwie sztuczki: „Zrzędność i przekora” Fredry i „Błażek opętany” Anczyca. Pani T., zamieszkała we własnym domu, w podwórzu, przy ulicy Prospektowej, nie tylko dała nam salę, ale i córce swej pozwoliła wziąć czynny udział w przedstawieniu. Rozpoczęły się próby. Wszystko szło pomyślnie. W pewną sobotę odbywała się próba jedna z ostatnich. Artystki i artyści wystąpili w kostjumach. Gra szła żwawo i składnie, aż tu na raz otwierają się drzwi i wślizga się... Swirniuk! Wydalenie z gimnazjum

strasznej kazamaty i, nawet młodszym kolegom dawała swój towar na kredyt, byle tylko „paniczyk nie umarł z głodu”. Po czwartej lekcji przez gwiazdki wydobywał się jeszcze głos uwięzionego, ale już apatyczny, nie żądający niczego. Po lekcji piątej głosu żadnego z karceru nie słyszeliśmy, gdyż uwięziony już był... przez Podniesińskiego wypuszczony i zapewne wypoczywał w domu po mękach. Tak przesunął się przed naszymi oczami i uszami niebывały dotąd dramat. Ale następstwa jego odbiły się na naszym Dyrektorze w parę miesięcy potem. Usłyszeliśmy również szybkie i nerwowe kroki na korytarzu i schodach. To Dyrektor biegł, by się stawić przed groźnym obliczem swej najwyższej władzy, pani dyrektorowej, i by wytłumaczyć zniknięcie ze słoików, złożonych na przechowanie w „ciemnym karcerze”, powideł i innych smakołyków, niezbędnych do spreparowania znośnej leguminy i ciasta. Co tam było, nie wiadomo, jak się Dyrektor zachował przed groźnym obliczem swej prawowitej władzy, nie wiadomo; jakie poczynił przyrzeczenia i po jakiej pokucie darowano mu winę, również zostało ukrytem i ukrytem nazawsze zostanie. Ale widzieliśmy go tylko, wracającego do swej kancelarji strapionego i z bardzo pokorną miną. Biedny! Odtąd już nigdy nie sadzał uczniów do ciemnego karceru...

pewnie! Trzeba radzić. Uradziliśmy próbować szczęścia u Dyrektora. Nazajutrz rano, t. j. w niedzielę przed Mszą, zanim Swirniuk zobaczyć się mógł z Dyrektorem, niżej podpisany i kolega ś. p. Władysław Polkowski, późniejszy adwokat w Lublinie, znaleźliśmy się w gabinecie p. Ponomarowa. Gdyśmy mu powiedzieli z czym przychodzimy, oburzył się i zaczął nam wyrzucać, że nie mamy doń zaufania i wskutek tego siebie narażamy na wydalenie, a jego na nieprzyjemności. Wówczas kolega Polkowski w te mniej więcej odezwał się słowa. „p. Dyrektorze, żeśmy Pana nie prosili o pozwolenie odegrania teatryku, nie jest to brakiem zaufania, lecz chęcią niesprawienia Panu przykrości. My wiemy, że Pan nie może nam pozwolić na granie sztuk polskich, a my nie możemy grać sztuk w języku rosyjskim; pocóż więc mielibyśmy przychodzić? By uniknąć Swirniuka postanowiliśmy grać w domu prywatnym, lecz i tu nas wytropił. Obecnie nic nam nie pozostaje, jak prosić Pana o opiekę i obronę”. W tem wszedł Swirniuk i wobec nas zaczął nas oskarżać, żeśmy grali komedijki polskie i do tego w krakowskim przebraniu. Dyrektor słuchał, a gdy Swirniuk skończył oskarżenie, zapytał: „kiedyż to pan dowiedziałeś się o tem, że oni przygotowują się do odegrania teatryku?” — „Wczoraj”, odpowiedział Swirniuk. „W takim razie muszę podziwiać Pańskie zaniedbywanie się w obowiązkach, boć oni, (i tu wskazał na nas), przed dwoma miesiącami otrzymali ode mnie pozwolenie na to i od tyłuż miesiący odbywają próby. Przykro mi jest powiedzieć Panu, żeś zawiódł moje zaufanie”. Swirniuk, jak zwyty, wyszedł a p. Ponomarow rzekł do nas: „na ten raz dobrze, grajcie, załatwię wszystkie formalności z policją i, żebyście na przedstawieniu nie mieli policjanta, przyślę wam Synajskiego (zastępcę klasowego wychowawcy, jak i Swirniuk), ale na przyszłość widzcie o tem, że ja was rozumiem i pragnę wam być pożytecznym”. Nic więc dziwnego, że choć zwaliśmy go „Famusowem”, naogół szanowaliśmy go, cze-

go dowodem może być i to, że gdyśmy się zebraли w Warszawie w 15-toletnią rocznicę od wyjścia z gimnazjum i jemu i Solskiemu wysłaliśmy telegramy z wyrażeniem naszego dlań poważania i życzliwości.

Bardziej jeszcze od Ponomarowa był przez nas lubiany p. Grzegorz Solskij, człowiek średniej tuszy, dosyć wysoki, o sympatycznej dobrotliwie uśmiechniętej twarzy. Uczył on literatury rosyjskiej, historii Rosji i powszechnej i przez dosyć długi przeciąg czasu był bibliotekarzem. Odznaczał się piękną wymową i uczciwym poglądem na rzecz. Ani polakożercą, ani szowinistą nie był; do nikogo się nie uprzedzał, oceniał postępy sprawiedliwie i w nieszczęściach zawsze usiłował nas osłonić. Jako bibliotekarz starał się dawać uczniom książki pożyteczne i odpowiednie ich wiekowi i rozwinięciu umysłowemu. Jeśli uczeń żądał książki nieodpowiedniej, wręcz mu odpowiedział: „Nie dam, bo ty tego nie zrozumiesz, lub to nie dla ciebie”. Gdy, jeśli się nie mylę, w 1875 roku podzielono bibliotekę gimnazjalną na „fundamentalną i uczniowską”, pozostawiając w tej ostatniej prawie wyłącznie powiastki ludowe i zabraniając uczniom, bez względu na klasę, korzystać z książek poważniejszych, znajdujących się w pierwszej, Solskij, nie będąc już wówczas bibliotekarzem, brał żądane przez uczniów książki, nawet polskie, z biblioteki fundamentalnej niby dla siebie i dawał je czytać uczniom klas wyższych. Swoje dziwne położenie nauczyciela rosyjskiego, który musi naciągać fakty historyczne, a czasem nawet i kłamać, by być w zgodzie z wolą rządu i podręcznikami Bellarminowych, Roźdiestwienskich, Ilłowajskich i t. d., Solskij rozumiał dobrze i wstydził się go, ale choć niechętnie, choć ze wstrętem, dla kawałka chleba kłamał. Pamiętam w klasie VI Solskij, czerwony jak rak, z utkwionemi w katedrę oczyma, ociężałe, bez zwykłej werwy, opowiadał nam o tem jak to kozacy pod dowództwem Króla Jana Sobieskiego w 1683 r. odnieśli świetne zwycięstwo nad Turkami pod Wiedniem. Słuchaliśmy, spoglądając po sobie. Naraz z ostatniej ławy odzywa się jeden z nas, Miko-

łaj Wojnow, sierota, syn pułkownika kozackiego, któremu ojciec umarł w Siedlcach, a on, jako sierota, został wychowany i oddany do gimnazjum przez miejscowy przytułek prawosławny, uczeń zdolny, kolega dobry i mający między nami dużą powagę: „No, panie Profesorze, dziś zbyt jawnie minąłeś się z prawdą, przypisując zwycięstwo pod Wiedniem kozakom; wszak pan wie, że my i inne książki, oprócz podręcznika czytamy i że tego rodzaju twierdzeniom pańskim wierzyć nie możemy”. „Panie Wojnow, odpowiedział Solskij, co mnie każą mówić, ja mówię i to samo musisz mi pan powtórzyć na egzaminie, ale jak ja nie zabraniam panu czytać innych książek, lecz przeciwnie do tego zachęcam, tak też nie zmuszam pana, byś wszystko, co z katedry mówię, brał za szczerą prawdę”. Pomimo to wszystko, Solskij za moich czasów gimnazjalnych był gwiazdą gimnazjum pod każdym względem. Wojnow, nieco później zabrał w socjalizm, został aresztowany i zmarnował się, jako prosty kozak ¹⁾).

Nie wiele mogę powiedzieć o Antonim Siemionowiczu, Domańskim i Trusiewiczzu, ponieważ byli oni w gimnazjum, gdym był w klasach niższych i to zaledwie lat parę. Wszyscy oni świeżo z galicyjskich unitów zostali nawróceni na prawosławie i sprowadzeni do Polski na profesorów gimnazjalnych. Wszyscy znali doskonale swoje przedmioty i byli dobrymi nauczycielami. Siemionowicza i Trusiewiczza słuchałem w klasie I i i pamiętam ich dobrze. Codziennie za łacinę zostawał ktoś z nas w kozie. Siemionowicz, cho-

¹⁾ Około roku 1890 spotkałem kolegę Bzowskiego, wówczas weteranarza w pułku dońskich kozaków, który mi opowiadał o Wojnowie, że, jako socjalista, przez dłuższy czas pozostawał w cytadeli warszawskiej. Wydobyty stamtąd, dzięki interwencji zarządu kozackiego, jako prosty kozak, służył w tym samym pułku, co i Bzowski. Bzowski zbliżył się do niego, lecz od swej władzy otrzymał surowe upomnienie, iż, zadając się z prostym kozakiem, czyni ujmę swemu oficerskiemu mundurowi. Musiał więc z nim zerwać stosunki. Wkrótce potem Wojnow zakończył swe smutne życie.

ciaż mieszkał na końcu ulicy Prospektowej, chociaż czasem deszcz lał jak z cebra, przy końcu godziny przychodził do gimnazjum. Słuchał zadanej lekcji, za którą uczeń pokutował i dopiero po wysłuchaniu puszczał ucznia do domu. Trusiewicz znowu, zdecydowany suchotnik, zgarbiony, kaszlący, codzień szedł powlócząc nogami do gimnazjum, dźwigając duże pudło, zawierające wycięte przez niego z tekturki figury geometryczne lub części całości, które ułatwiały uczniowi zrozumienie lekcji. Jednakże w wychodzeniu z uczniami byli nierówni, zgryźliwi, to gwałtowni, to znowu zbyt łagodni. Ha, może to był skutek wyrzutów sumienia, że dla rubla wyparli się Boga i dali się użyć za narzędzie wynaradawiania bezbronnych i bezkrytycznych dzieciaków.

Około roku 1876 na szarem tle naszego gimnazjum jak meteor zabłysnął Horoszewicz i zaraz zniknął, gdyż choć znakomicie znał łacinę i grecki, ale nauczać ich nie mógł, bo... nie chciał zostać prawosławnym.

Aby dać prawdziwe pojęcie o gimnazjum siedleckim z lat 1870 — 1877 muszę wspomnieć jeszcze o dwóch nauczycielach, którzy nadawali ton całemu zakładowi i najbardziej dawali się nam we znaki. Byli to Adrjan Leontjewicz Abramowicz, inspektor i Iwan Iwanowicz Swirniuk pomocnik klasowych wychowawców i nauczyciel języka niemieckiego.

Adrjan Leontjewicz Abramowicz, był to mężczyzna wysoki, tęgi, mogący mieć przeszło 40 lat. Była to „szirokaja ruskaja natura” i zarazem rusyfikator w całym tego słowa znaczeniu. Wszystko, co polskie było dlań wstrętne, a dźwięk mowy polskiej, wychodzący z ust ucznia (sam on mówił po polsku doskonale), wyprowadzał go z równowagi umysłowej, — to też gnębił nas bez litości, a za każdy usłyszany wyraz polski karał surowo. Tego rodzaju obelgi, jak: „polskaja świnka, polskaja mordka, polskij pan, swołocz, driań” i t. p., były nam przezeń rzucane w twarz na każdym kroku bez najmniejszego z naszej strony powodu. Baliśmy się go więc jak ognia i, o ile się dało, ucie-

kaliśmy przed nim, od usłyszenia bowiem jednego z powyższych komplementów ani wiek ani wysokość klasy, ani wzorowe sprawowanie lub celujące postępy w nauce nikogo nie zabezpieczały. W dodatku był to fantastyk, kierujący się jedynie kaprysem. A oto przykład. Piszący te słowa, ponieważ był zawsze w rozterce z rosyjskim akcentem, nigdy nie miał łaski u p. Inspektora Abramowicza. To też przy egzaminie przejściowym z klasy 4-tej bez zadania mu jakiegokolwiek pytania został nazwany polskim panem i odprawiony na miejsce, ale z języka rosyjskiego otrzymał stopień dostateczny. Innym razem, kiedy byłem już, jako uczeń klas wyższych „starszym” na stacji P. Majewskiej, na ulicy Prospektowej, zostałem złapany przez Swirniuka na paleniu papierosa. Spodziewałem się pozbawienia prawa starszeństwa. Dnia następnego Swirniuk spotkał mnie na korytarzu w pobliżu Inspektora. Przypomniał sobie o papierosie, podbiegł do Inspektora i coś mu zaczął opowiadać. Widocznie opowiadanie mnie się tyczyło, bo inspektor co raz spoglądał w moją stronę, ja zaś ukryć się nie mogłem, gdyż wraz z kolegami musiałem czekać na otwarcie przez profesora gabinetu fizycznego, by pójść na lekcję fizyki. Byłem przygotowany na wszystko najgorsze. Nagle słyszę gwałtowny śmiech Inspektora, widzę, jak obydwoma rękami bawi się brodą Swirniuka i o uszy moje objaja się pytanie: „Jak to było, Iwanie Iwanowiczu, jak on papierosa trzymał, „w zobjach”? Iwan Iwanowicz coś mu odpowiedział, co wywołało jeszcze głośniejszy śmiech p. Inspektora i zwrot już wprost do mnie: „Iwan Iwanowicz powiada, żeś wczoraj trzymał papierosa „w zobjach”, czy też „w zobjach”. Ołóż pamiętaj, żebyś nigdy nie trzymał papierosa ani „w zobjach”, ani „w zobjach”, ale „w zobjach”, bo człowiek ma „zuby”, a chyba tylko Iwan Iwanowicz ma „zobja”, czy tam „zobja”. Poczem odwrócił się, zostawiając na korytarzu oszołomionego Iwana Iwanowicza i mnie ucieszonego tem, że uniknął grożącej mi wielkiej

przykrości, dzięki chyba temu, że Swirniuk nie znał języka rosyjskiego.

Abramowicz uczył języka rosyjskiego. Czy umiał on ten przedmiot nie wiem, wiem za to, że dręczył nas okropnie zmuszaniem do kucia dyktowanych przez siebie prawideł gramatycznych i całych ogromnych ustępów z Gogola i że wskutek tego obrzydził nam język rosyjski na bardzo długo.

Ktoś kiedyś powiedział, że bratnie duchy wzajemnie się szukają i zwykle się znajdują, o czym wiedzieli już starożytni i wyrazili to w przysłowiu: *similis similibus gaudet*. Takiego bratniego ducha Abramowicz znalazł dopiero w r. 1873 w osobie Iwana Iwanowicza Swirniuka, jak mówiono, byłego braciszka zakonnego w klasztorze bazylianów we Wschodniej Małopolsce, świeżo nawróconego na prawosławie i duszą i sercem tęskniącego do rosyjskich rubli, orderów i „czynów”. Byłem w III klasie, gdy na horyzoncie gimnazjum siedleckiego zajaśniał Iwan Iwanowicz. Chwilę poznania go pamiętam bardzo dobrze. Miała być lekcja języka polskiego, czekaliśmy więc księdza prefekta, bo on nas tego przedmiotu uczył i powtarzaliśmy gramatykę, gdyż z nim na polskim żartów nie było. Naraz drzwi klasy otworzyły się i wszedł dyrektor, a za nim wsunęło się coś w wytartej marynarce, w obszarpanych u dołu spodeńkach i w wykoszlawionych butach. Tym cosiem był późniejszy dygnitarz gimnazjum siedleckiego, kawaler wielu orderów, rzeczywisty radca stanu etc. etc. — Iwan Iwanowicz Swirniuk. Ku naszemu zdziwieniu i przerażeniu Dyrektor przedstawił nam owo coś, jako nauczyciela języka polskiego! Po wyjściu Dyrektora coś odezwało się do nas po rosyjsku; ależ ono nie umiało mówić w tym języku; zaczęło czytać po polsku — Boże, co za wymowa! Parsknęliśmy wszyscy śmiechem. Śmiech taki z naszej strony nie raz spotykał Swirniuka. Śmieliśmy się z niego, śmieli się nauczyciele, śmiał się dyrektor, śmieli się stróże i pedel, drwił we właściwy sobie sposób inspektor, chociaż odrazu poznał się na

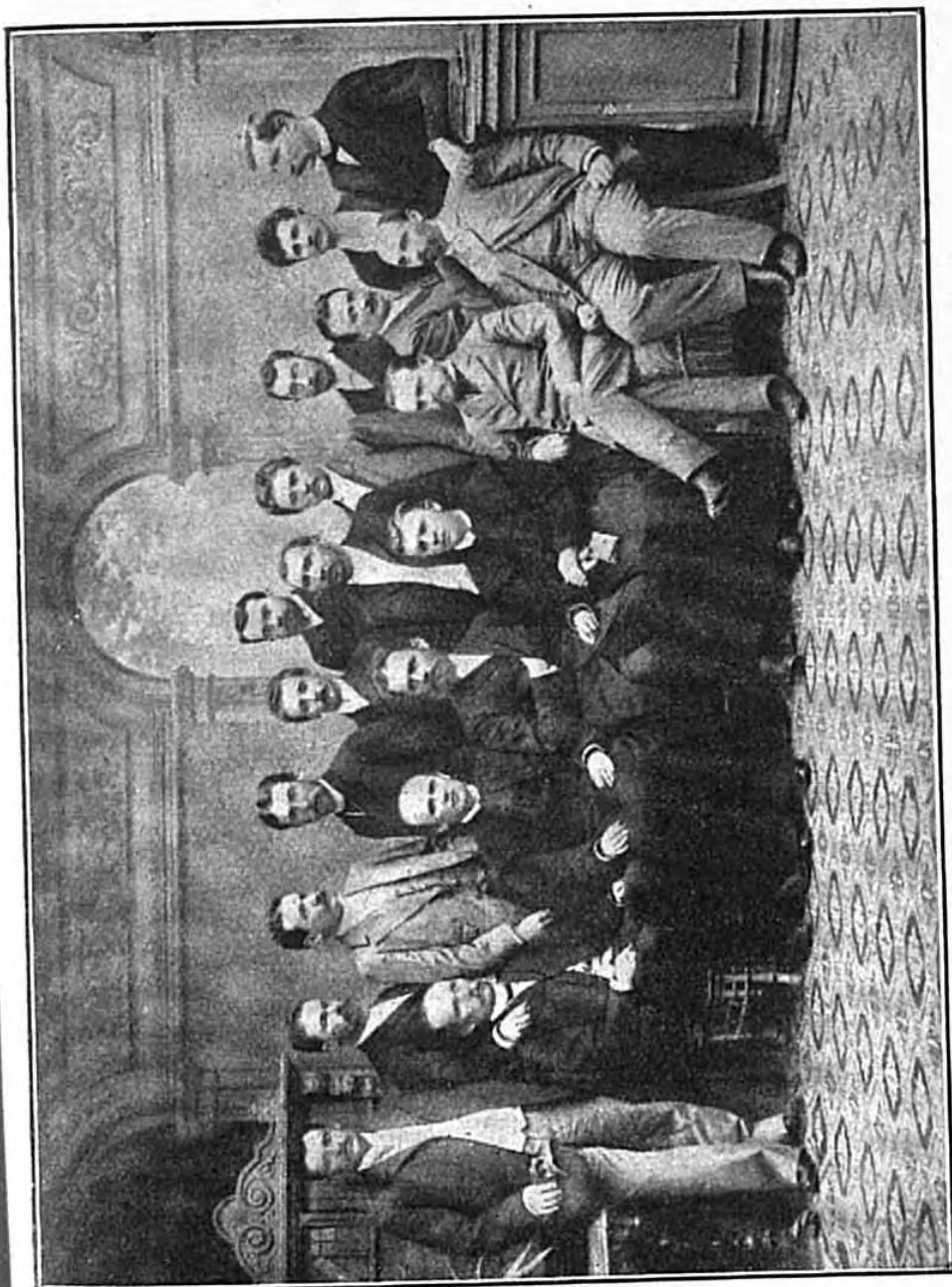
jego nie tuzinkowej wartości i otoczył swą opieką. Był więc pośmiewiskiem wszystkich, ale on, jako człowiek praktyczny, rozumiał dobrze swoje stanowisko i zadanie i nie szedł, ale biegł drogą, prowadzącą do wytkniętego przez siebie celu. Apostołował między uczniami unitami prawosławie, podsluchiwał mówiących po polsku, czołgał się pod oknami stancji uczniowskich, podpatrując co uczniowie robią, wpadał niespodzianie na stancje, przerzucał szuflady i kuferki, szukając książek polskich, że zaś tam na ulicy Starowiejskiej obito go kiedyś pod oknem, na takie drobnostki nie zważał, bo wiedział, że te drobnostki znacznie zbliżają go do celu: do orderów, awansów i rubli.

Mając takiego pomocnika głównego i drugorzędnych, jak Sinajskij i niektórzy z nauczycieli, Abramowicz naprawdę stał się dla nas strasznym i bardzo szkodliwym. Po wyjściu Abramowicza, zdaje się w 1876 roku, Iwan Iwanowicz był już tak potężnym, że sam stanął na czele akcji rusyfikacyjnej.

Rozumie się, że przy takich tendencjach gimnazjum, poziom naukowy musiał się obniżyć. Do 1875 r., t. j. do chwili urzędowego zniesienia unji pod względem naukowym staliśmy chyba nie o wiele niżej aniżeli inne gimnazja w Polsce. Dopiero, gdy nakazano nauczycielom unitom przyjąć prawosławie, gdy jedni z nich wymarli a innych przeniesiono do Rosji (Horoszewicz, nie chcąc przyjąć prawosławia, sam się usunął), gdy miejsca ich zajęli prawosławni seminarzyści i popowicze, oraz ludzie z wykształceniem czeroklasowem, ale za to gorliwi rusyfikatorzy i krzewiciele prawosławia, nauka musiała spadać co raz niżej. I nie mogło być inaczej, jeżeli nauczyciele (Sierojczkowskij) o decyzję, czy przekład klasyka łacińskiego był zgodny z oryginałem, tuż na lekcji zwracali się do lepszych uczniów (Mieczysław Korabiewicz, Jan Michalskij), jeśli „matematyk” (Sinajskij) brał korepetycje od ucznia Salmanowicza i następnie przerobione z nim zadania z zeszytu przepisywał na tablicę, nie rozumiejąc ich wcale, a matematyk Iwanow nie umiał zro-

bić najłatwiejszego doświadczenia z fizyki i chemji. Trafiali się czasem i lepsi nauczyciele (Sierociński, Kułakow), ale było ich za mało i w gimnazjum gościli nie długo.

Jakąż więc korzyść miała Rosja z systemu rusyfikacyjno-sprawosławiającego? Nienawiść do wszystkiego co rosyjskie i prawosławne, którą prawie wszyscy wynosiliśmy ze szkoły; rozbudzenie w nas tem silniejszej miłości do tego co polskie, zaszczepienie w nas ducha konspiracji, wywołanie reakcji, a w rosjanach szerzenie się nihilizmu (Makowielskij, Makowskij, Wojnow i wielu innych). Że w niejednym z nas zabito zdolności, znieprawiono ducha, to nie ulega wątpliwości, ale ogół wyszedł narodowo uświadomionym i silnym.



Zjazd kolegiów z roku 1878 oraz lat pobliskich w roku 1893.

Siedzą: Ś. p. Józef Uzdowski, Ks. Dr. Karol Dębiński, Józef Jastrzębski, Ś. p. Ks. Stanisław Wierzejski, Ś. p. Ludwik Rabek, Władysław Mo-
drzewski, Stojak: Ś. p. L. Stalkowski, Czesław Bitner, Ś. p. Chwałisław Kopec, Ś. p. Bronisław Laskowski, Ś. p. Władysław Polkowski, Ś. p. Dr. W. Wron-
ski, Ś. p. Dr. Jan Sierzpowski, Ś. p. Adolf Bitner, Dr. Bronisław Sawicki, Ś. p. Dr. Czesław Wroczyński, Ś. p. Otto Polkowski i Marek Borkowski.

Bronisław Sawicki

WSPOMNIENIA Z LAT SZKOLNYCH (1870 — 1878)

Starszy brat mój, Anastazy, rozpoczął swą naukę szkolną w Białej Podlaskiej. Było to na kilka lat przed reformą Wielopolskiego, a zatem w okresie zupełnego upadku naszego szkolnictwa. W Białej było wówczas czteroklasowe progimnazjum, którego nauczyciele nie odpowiadali zadaniu ani pod względem umysłowym, ani też moralnym. Dość powiedzieć, że z początkiem wspomnianej reformy wypadło cały personel rozpuścić*). Nauczanie stało na poziomie bardzo niskim, a różga stanowiła główny czynnik wychowawczy. Załatwiano się przytem bez wielkich ceremonji, gdyż nauczyciel często kładł winowajcę odrazu w klasie na ławkę i od ręki wymierzał sprawiedliwość. Po ukończeniu progimnazjum białskiego brat mój przeniósł się do piątej klasy do Siedlec, gdzie stosunki panowały może nieco lepsze niż w Białej. Tu zastała go reforma Wielopolskiego, która stanowi kartę świetlaną w dziejach naszego szkolnictwa. Powołano do nauczania ludzi możliwie najlepszych, na jakich nas stać było. Ich wpływ zaznaczył się odrazu tak wybitnie, że brat mój nieraz z rozrzewnieniem wspominał o

*) W kilka lat potem brat mój, będąc już studentem Szkoły Głównej w Warszawie, spotkał jednego ze swych byłych nauczycieli w podrzędnej restauracji. Brał on udział w orkiestrze, waląc w bęben, mieszkał gdzieś pod schodami w pokornym u stróża i wszystko, co zarabiał, przepijał.

tych czasach, porównyując je z bialskimi. Nietylko podniósł się poziom nauczania, lecz i stosunek nauczycieli do uczniów ułożył się bardzo dodatnio pod względem wychowawczym. Nauczyciele starali się wpływać na uczniów nie tylko w szkole, lecz i poza nią; nieraz brali udział w zabawach uczniów, ze starszemi klasami urządzali wycieczki przyrodoznawcze poza miasto, czemu sprzyjała ta okoliczność, że w sobotę lekcje w gimnazjum miały miejsce tylko do godziny dwunastej.

Na nieszczęście wprędce po upadku powstania położenie rzeczy szybko zaczęło się zmieniać. Od roku 1865/6 zaczęto w przyspieszonym tempie gimnazjum siedleckie rusyfikować tak, że po upływie dwóch lat, poza prefektem, nie było już ani jednego nauczyciela polaka. Wszystkie przedmioty były wykładane po rosyjsku. Nie poszło to rządowi łatwo, głównie wobec braku nauczycieli rosjan, których nie posiadała nawet dla siebie Rosja w dostatecznej ilości. Poradzono sobie w ten sposób, że powołano do Siedlec na stanowiska nauczycieli odpowiednio wykwalifikowanych rusinów galicyjskich. Pozatem, w razie potrzeby, dobierano ludzi bez wyższego wykształcenia. Dość było zdać egzamin odpowiedni w Dyrekcji Naukowej i mieć wstępny wykład w którejś z klas gimnazjalnych, by stanowisko nauczyciela otrzymać. W ten sposób np. Iwanow otrzymał posadę nauczyciela historii.

W tym to właśnie czasie, w r. 1870 sądzone mi było wstąpić do klasy pierwszej gimnazjum Siedleckiego. Wymagania od kandydatów były bardzo małe.

Zdawało się z języka rosyjskiego, arytmetyki i religji. Z rosyjskiego trzeba było jako tako przeczytać kilka wierszy z powszechnie używanej wówczas w klasach niższych książki Paulsona oraz napisać parę wierszy pod dyktando. Egzamin z arytmetyki polegał przeważnie na dodaniu kilku liczb, które nauczyciel wypisał na papierze. W tenże sposób odbywało się odejmowanie lub mnożenie (dzielenia nie wymagało). Z religji egzaminował w zastępstwie prefekta,

księdza Szyszkowskiego, ksiądz unicki, Chojnacki, każąc po polsku odmówić pacierz, lub co najwyżej dziesięcioro przykazań. Łatwo zrozumieć, że tak przygotowany chłopiec, dostawszy się do pierwszej klasy, przez czas dłuższy bardzo słabo się orjentował w tem, co nauczyciel mówił. Pamiętam, jak jeszcze w dobre parę miesięcy po rozpoczęciu lekcji nie mogłem tego zrozumieć, dlaczego nauczyciel każe nam często coś zapominać. Dopiero korepetytor mi wyjaśnił, że „zapomnit“ znaczy po polsku zapamiętać. W tych warunkach z wykładów nauczyciela uczniowie korzystali bardzo mało, a cała nauka polegała na kuciu zadanej lekcji w domu z książki na pamięć. A przedmiotów nawet w pierwszej klasie było niemało: religja, języki — rosyjski, polski, łaciński, francuski, arytmetyka, geografja, zoologja, rysunki i kaligrafja. Nauki przyrodnicze, które reforma Tołstoja zupełnie wykreśliła z programu, wówczas były wykładane w trzech niższych klasach: w pierwszej — zoologja, w drugiej — botanika, w trzeciej — mineralogja. Nie powiem, by stąd płynęła wielka korzyść dla uczniów. Wobec zupełnego braku jakichkolwiek środków pomocniczych cała nauka sprowadzała się do wykuwania na pamięć cech zewnętrznych każdego zwierzęcia lub rośliny z odpowiednich podręczników. Niewiele tu pomagały nieliczne, niekolorowane i lichy odbite rysunki w podręczniku. Do mineralogji nie było podręcznika, a nauczyciel wprost swe wykłady dyktował. Języka niemieckiego w gimnazjum siedleckim nie uczono wcale, a naukę jego wprowadziła dopiero reforma Tołstoja. Taż sama reforma zniosła w gimnazjum naukę języka polskiego. Jednakże w ciągu pierwszych dwóch i pół lat mego pobytu w temże gimnazjum jeszcze nas języka polskiego uczono, choć w rozmiarach skromnych. Dwa pierwsze lata wykładał ksiądz Szyszkowski, a nauka polegała na tłumaczeniu z języka rosyjskiego na polski oraz na uczeniu ogólnych zasad gramatyki. W trzecim roku odebrano księdzu Szyszkowskiemu nauczanie języka polskiego, a polecono je świeżo przybyłemu z Galicji Swirniukowi, z którym na razie nie wiedziano, co zro-

bić. Swirniuk, nie posiadający jeszcze w dostatecznym stopniu języka rosyjskiego, udawał, że polskim językiem źle włada. Nauka przy nim polegała tylko na tłumaczeniu z języka polskiego na rosyjski. Swirniuk udawał, że niektórych wyrazów polskich nie rozumie (np. że nie rozróżnia przeszłości od przyszłości), lecz z drugiej strony uczniowie trzeciej klasy musieli go często poprawiać i w języku rosyjskim. Ta parodia nauczania trwała pół roku (do stycznia 1873 roku) t. j. do chwili, gdy wprowadzono reformę Tolstoja. Swirniuk wówczas otrzymał posadę nauczyciela świeżo wprowadzonego języka niemieckiego oraz stanowisko pomocnika gospodarzy klasowych. Odtąd rozpoczyna się jego karjera.

Reforma Tolstoja powiększyła czas nauczania, dodając klasę ósmą i wstępną, wykreśliła z programu nauki przyrodnicze i rysunki, znacznie zwiększyła program języków starożytnych. Wskutek tego nauczanie języka greckiego rozpoczynało się teraz w klasie trzeciej, a nie w czwartej, jak poprzednio; natomiast początki geometrii przeniesiono z klasy trzeciej do czwartej. Zmieniono też i sposób oceniania umiejętności ucznia, wprowadzając pięć stopni zamiast dotychczasowych trzech. Pomędzy innymi wprowadzono także ćwiczenia z języków starożytnych, polegające na tłumaczeniu z rosyjskiego na łaciński lub grecki, oraz z gruntu zreformowano i znacznie obostrzono zarówno egzaminy przejściowe, jak i ostateczne w klasie ósmej. Nie uważam za wskazane oceniać tu reformy Tolstoja ze stanowiska jej wpływu na rozwój oświaty, a być może, nawet na kształtowanie się późniejszych stosunków społecznych nie tylko u nas, lecz i w całej Rosji. Wspomnę tylko, że ciężkiem brzemieniem legła ona na naszym życiu szkolnem, które i bez tego w niełatwych warunkach się toczyło. Wykoleiła ona i złamała niemało jednostek.

Wyżej już mówiłem, że, dążąc do szybkiego zrusyfikowania gimnazjum Siedleckiego, rząd rosyjski musiał brać personel nauczycielski skąd się dało i jak się dało. Wskutek tego personel ten z konieczności nie mógł być dopasowany

do siebie ani pod względem wykształcenia ani też pochodzenia. Mogło ich łączyć jedno tylko: wrogi stosunek do miejscowej polskiej ludności, z którą przeważnie mieli do czynienia, jako że unitów było w gimnazjum stosunkowo niewiele, Rosjan jeszcze mniej, a Żydów paru lub co najwyżej kilku w całym gimnazjum.

Tak się miała ta sprawa, gdy wstępowałem do gimnazjum Siedleckiego. Wśród personelu nauczycielskiego, zarówno pod względem intelektualnym, jak i liczebnym, mieli przewagę Rusini Galicyjscy. Byli to ludzie bądź co bądź z wykształceniem uniwersyteckim i z pewnym otarciem się o kulturę zachodnią. Do rzędu ich należeli: Siemienowicz, Domański, Baczyński, Trusiewicz, Ohrymowicz. Resztę personelu nauczycielskiego stanowili z różnych stron pobierani Rosjanie, przeważnie bez wykształcenia wyższego, a niektórzy nawet bez jakiegokolwiek oglądu towarzyskiej (np. Abramowicz). W tych warunkach Galicjanie nadawali wówczas ton zespołowi nauczycielskiemu. Z nimi się łączył Solski, który pochodził z Małorosji. Ten pewien kierunek ideowy uwidaczniał się nazewnątrż w przedstawieniach amatorskich, grywanych w języku małorosyjskim. Zazwyczaj uczniowie miewali wstęp wolny na próbę generalną. Otóż pamiętam, że byłem na jednej takiej próbie, gdzie w Natalce Połtawce Solski i Domańska grali rolę kochającej się pary. Jednakże ten okres, że tak powiem, małorosyjski trwał niedługo, gdyż, zdaje się, rząd niemiłym okiem na to patrzył. Dziś, gdy na przestrzeni kilku dziesiątków lat spoglądam na te czasy, mam wrażenie, że powołani tu Rusini nie znaleźli tego, czego się spodziewali, że nawet czuli się do pewnego stopnia wykolejonymi. Z drugiej strony i władze Rosyjskie niezupełnie musiały być z nich zadowolone. Nie mam na to danych bezpośrednich, choć przeniesienie w dość prędkim czasie Siemienowicza, Ohrymowicza i, zdaje się Baczyńskiego z gimnazjum Siedleckiego do Rosji mogłoby do pewnego stopnia przemawiać za tem. Przychodzi mi na myśl inny fakt, co prawda z okresu Apuchtina, a zatem o wiele późniejszego, lecz bardzo charakterystyczny dla

stosunku rządu rosyjskiego do powołanych przez niego tu dla współpracy rusinów. Opowiadał mi o tem jeden z prof. rosjan, którego dobrze znałem. Był on w jakimś interesie u Apuchtina. Gdy go wpuszczono do gabinetu, Apuchtin właśnie kończył półgłosem rozmowę z jakimś wyższym urzędnikiem. Nagle Apuchtin, widocznie porytowany, odezwał się głośnie: „wsio byłoby chorocho, jeśli by nie eti galic-kije popy: czto im ni dasz, wsio im mało“. Nie chcę przez to powiedzieć, by ściśle takież stosunki panowały pomiędzy rządem i nauczycielami siedleckimi. W każdym razie, przypuszczam, stosunek ten nie był zbyt serdeczny; tem-bym sobie tłumaczył to zdenerwowanie, zgryźliwość, która się ujawniała w ich stosunku do uczniów.

Na pierwszy plan z pomiędzy nauczycieli galicjan wysuwał się nauczyciel łaciny Siemionowicz. Średniego wzrostu, krępy, o surowym wyrazie twarzy, szorstki, często niewyrozumiały, nieprzystępny w obejściu miał on jednak tą dobrą stronę, że dobrze uczył. Wykładał niezłe, nie zadawał zbyt wiele, wymagał dużo, lecz nie ponad miarę. Za nienauczenie się lekcji sadzał do kozy na godzinę. Po godzinie przychodził z domu do gimnazjum i ukaranych egzaminował. O ile uczeń w ciągu tej godziny nauczył się lekcji, puszczał go do domu (jedynka w dzienniku swoją drogą pozostawała). Jeżeli uczeń jeszcze lekcji nie umiał, Siemionowicz często pozostawiał go na drugą godzinę w kozie, po odsiedzeniu której mógł iść do domu. Od czasu do czasu dla przekonania się o zdolnościach poszczególnych uczniów Siemionowicz nakazywał w klasie otworzyć podręcznik na takiej to stronicy i w ciągu 5 lub 10 minut nauczyć się pewnej liczby słówek łacińskich. Następnie wywoływał uczniów i z tych słówek egzaminował. Swoją drogą miało to znaczenie tylko w stosunku do młodszych. Starsi, którzy już nieraz po 3 i 4 lata w gimnazjum siedzieli, do nas młodszych mawiali: „jam tam niegłupi wydawać się przed nim z tem, że mam zdolności“.

Stosunek Siemionowicza do uczniów był zimny, czysto urzędowy, lecz naogół sprawiedliwy. W Siedlcach Siemio-

nowicz był około czterech czy pięciu lat, poczem przeniesiono go gdzieś do okręgu moskiewskiego. Podobno nie mógł on tam przyzwyczać się do miejscowych stosunków, wskutek czego zaczął starać się o ponowne przeniesienie go do Królestwa Polskiego. Po jakimś czasie dostał posadę dyrektora gimnazjum w Kaliszu, gdzie, zdaje się, do śmierci pozostawał. W późniejszych czasach zbliżył się on nieco do jednego z uczniów swoich, Hieronima Łopacińskiego, nauczyciela łaciny w gimnazjum lubelskim, znanego z prac nad językiem staropolskim. Łopaciński opowiadał mi, że go kiedyś w Kaliszu zaprosił do siebie Siemionowicz. W rozmowie wspomniał o tem, że dawniej sam pracował nad językiem staropolskim i że w tym zakresie pisał w którymś z uniwersytetów niemieckich dysertację doktorską. Później ułożył słownik języka staropolskiego, lecz dla różnych względów nie mógł go drukiem ogłosić. Nie chcąc by się ta praca jego zmarnowała, oddaje ją Łopacińskiemu, z tem, by ją zużytkował w taki sposób, jaki sam uzna za najodpowiedniejszy. W jakiś czas potem Łopaciński wskutek wypadku życie zakończył nagle; co się z rękopisem Siemionowicza stało, nie mogłem się dowiedzieć.

Drugim nauczycielem języka łacińskiego był także rusin galicyjski, Baczyński. Nerwowiec, prawie histeryk, niekiedy stawał się wprost niepoczytalnym. Opowiadano o nim, że, gdy w domu wpadł w gniew, tłukł talerze i łamał krzesła. Dokąd go przeniesiono, nie wiem. W każdym razie w Siedlcach był nauczycielem zaledwie dwa czy też trzy lata.

Języka greckiego nauczał Domański. Nie byłem jego uczniem bezpośrednim; to też znałem go tylko z opowiadań kolegów starszych. Dziwak, śledziennik, zawsze wrogo w stosunku do uczniów usposobiony, był on biczem Bożym dla nich. Nauka języka greckiego zaczynała się wówczas w klasie czwartej. Zaraz na pierwszej lekcji Domański zadawał cały alfabet grecki, który uczniowie już na następnej lekcji musieli umieć wyrecytować nietylko od alfy do omegi, lecz i w kierunku odwrotnym, a nawet od środka w kierunku do alfy lub omegi. Na drugiej lekcji za-

dawał do nauczania się kilkadziesiąt wyrazów greckich, tak, że nawet najpilniejsi nie byli w stanie podolać temu. To też pozostawanie na drugi rok w klasie czwartej z powodu języka greckiego stało się omal zasadą*). Domański umarł w Siedlcach na suchoty.

Trusiewicz uczył matematyki. Nauczyciel bardzo średniej miary, nudziarz, mantyka, niebardzo sobie umiał poradzić z taką masą uczniów, jaka nań przypadła w klasach niższych (np. w klasie pierwszej przeszło siedemdziesięciu, a nawet do dziewięćdziesięciu). Zdarzało się, że, jeżeli mu uczeń źle odpowiedział na początku kwartału, to mógł go już więcej nie zapytać ani w tym, ani w następnym kwartale, a postawić zły stopień za obydwa kwartały. Zresztą w gruncie, o ile się zdaje, był to więcej niedołązny, niż zły człowiek. Umarł w Siedlcach na suchoty.

Najsympatyczniej przedstawiał się z całej tej rusińskiej gromadki nauczycieli Ohrymowicz. Wykładał on w klasach wyższych historję wówczas, gdy ja dopiero rozpoczynałem swą naukę gimnazjalną. Stąd też znana mi jest ta postać tylko z opowiadań, później zasłyszanych od jego byłych uczniów. Wykłady jego miały być, jak na ówczesne stosunki, bardzo śmiałe; nieraz w nich zaznaczał swój bezstronny a nawet sympatyczny do nas stosunek. Był to jedyny z pomiędzy nauczycieli rusinów, który starał się nawiązać stosunki z polskim społeczeństwem w Siedlcach. Opowiadano mi, że się nawet zakochał w polce. Przeniesiono

*) Najczęstszym chyba stopniem, stawianym przez Domańskiego, przynajmniej w klasie IV, była jedynka; przytem rozróżniał on jedynkę arabską, która mogła jeszcze w przyszłości ulec poprawieniu, od jedynki rzymskiej, którą nazywał „nieisprawimaja”, t. j. taka, która pozostawała już bez zmiany do końca roku. Tę ostatnią dostawał zwykle uczeń, jeżeli kilkakrotnie odpowiadał na lekcji w sposób niedostateczny. Zresztą mogły na to wpływać i inne czynniki. Kiedyś w klasie IV wywołuje Domański ucznia Orbrot (nazwisko umyślnie nieco zmieniam). Uczeń, naogół dość słaby, lecz buńczuczny, odpowiada niestęgo. Domański swoim zwyczajem pyta: nu to Orbrot, to kak wasza familja? „Zdorowa, gospodin uczytiel”. „Nu to wasza familja zdrowa, nu to wam jedynica rymkaja, to nieisprawimaja”.

go wprędce do Kijowa. Pozostawił wśród swych uczniów wyjątkowo dobrą pamięć.

Bądź jak bądź, trzeba przyznać, że ta pierwsza partja rusinów galicyjskich, przybyłych do Siedlec, należała przynajmniej do rzędu ludzi wykształconych. Tego odnośnie później przybywających powiedzieć nie można (Swirniuk, Sierajczkowski). Co się tyczy innych nauczycieli z tego czasu, to oni wobec galicjan na drugi plan schodzili. Trudno mi tu kreślić poszczególne sylwetki wszystkich nauczycieli, z którymi się stykałem, aczkolwiek wszystkie one żywo tkwią w mej pamięci. Idzie mi więcej o charakterystykę ogólną, niż o poszczególne postacie. Zanim jednakże do tego dojdę, czuję się w obowiązku choć krótką wzmiankę poświęcić paru postaciom jaśniejszym, zarysowującym się na ogólnem ciemnem tle. Do rzędu tych przedewszystkiem należał Grzegorz Solski. Z pochodzenia małorusin z kijowszczyzny (to go z rusinami galicyjskimi zbliżało), nie był on szowinistą ani działaczem rosyjskim. Zawsze wyrozumiały, dla uczniów przychylny, jako nauczyciel sumienny i bezstronny, był to może jedyny przedstawiciel gimnazjum siedleckiego, który zażywał wśród uczniów ogólnej sympatji. Jest to tem ważniejsze, jeżeli dodać, że wykładał on język rosyjski i historję, gdzie najłatwiej było, a nawet poniekąd do obowiązku należało uczucia nasze drażnić.

Drugim nauczycielem, który zasługuje na wzmiankę, jest Leniczenko, także małorusin, podobno wychowaniec uniwersytetu kijowskiego. Wykładał on nam geografję i nauki przyrodnicze. O ile w nauczaniu przedmiotów przyrodniczych niczem szczególnem się nie zaznaczył, to za to naukę geografji prowadził wzorowo. Sam wykład, z natury dość suchy, umiał okrasić bądź to jakimś historycznem opowiadaniem, bądź obrazkiem, przedstawiającym np. ludy dzikie i ich otoczenie. Sam rysował każdą część świata na tablicy z uwzględnieniem geograficznych długości i szerokości, a uczniowie obowiązani byli nietylko to przerysować, lecz nauczyć się rysować na tablicy. Tą drogą pojęcia geograficzne znakomicie się nam utrwały w pamięci.

Wreszcie trzecią dodatnią postacią, godną wspomnienia, był Danił Ponomarow, początkowo inspektor, a od czasu wprowadzenia reformy Tołstoja — dyrektor gimnazjum. Człowiek bez większego wykształcenia, jednakże bardzo pracowity. Od klasy trzeciej do siódmej uczył nas języka greckiego, sam przygotowując się, jak uczeń, do lekcji, ponieważ kurs taki prowadził poraz pierwszy, a nie był doń uprzednio przygotowany. Gdy zbrakło nauczyciela do geometrii, francuskiego lub logiki, znowu zastępczo przez dłuższy czas uczył tych przedmiotów, sam się do nich skrupulatnie przygotowując. Lecz nie tu leży jego główna zasługa. Będąc na stanowisku dyrektora, mając przepisy tak ciężkie, nie wyzyskiwał ich dla osobistej kariery całkowicie, lecz, o ile mógł, łagodził. Surowo było wzbronione mówienie po polsku, a przecież nikomu z nas przez myśl nie przeszło mówić poza lekcją po rosyjsku. Stąd łatwo mogły powstawać kolizje, zwłaszcza, gdy się miało do pomocy tak gorliwych pomocników gospodarzy klasowych, jak Swirniuk, Sinajski i inni. Otóż mniej więcej raz do roku łapano na gorącym uczynku jakiegoś malca, zwoływano całe gimnazjum do sali zebrań, i tu dyrektor odczytywał odpowiednie rozporządzenie, mocą którego winowajca za pierwszym razem miał odsiadywać kozę, za drugim — podlegać zapisaniu do czarnej księgi, a za trzecim — podlegać wydaleniu. Kończyło się zawsze na kozie, przepisom stawało się zadość, a myśmy na czas dłuższy mieli spokój. Sam Ponomarow, o ile, idąc do klasy, usłyszał zbyt głośną rozmowę polską, zatrzymywał się przed otwartymi drzwiami nieraz do czasu, aż się wszystko uciszyło. Raz, pamiętam, przyszedł na lekcję religji, gdym był już w siódmej klasie. Widocznie ktoś musiał mu zadenuncjować, że my odpowiadamy lekcje z historii Kościoła po polsku i że nosimy podręczniki polskie do klasy. Tu trzeba zaznaczyć, że prefektem był wówczas ksiądz Brzozowski, który nie umiał sobie jakoś zjednać powagi ani u władz, ani u uczniów, jak to miało miejsce z jego poprzednikiem, księdzem

Szyszkowskim. Wchodząc, Ponomarow rzeczywiście usłyszał, że uczeń na cały głos odpowiada po polsku. Wyciął reprimendę księdzu i nam; udobruchał się dopiero wówczas, gdy paru z kolei wywołanych uczniów wcale płynnie odpowiedziało po rosyjsku zadany ustęp z historii Kościoła. Skończyło się na tem, że Ponomarow przypomniał nam ogólne rozporządzenie, zalecając, by na przyszłość odpowiadać na lekcji po rosyjsku i by do gimnazjum nie przynosić polskiego podręcznika, posilkując się nim jedynie w domu, jako że po rosyjsku takiej książki nie wydano. Musieliśmy odtąd być nieco ostrożniejsi *). Otóż główną zasługą Ponomarowa było to, że na stanowisku dyrektora nie był on tak szkodliwy, jakby mógł być ktoś inny. Ujawniło się to

*) Starego i nowego Testamentu uczyliśmy się w pierwszej i drugiej klasie z podręczników rosyjskich, które właściwie były przeznaczone dla prawosławnych. W trzeciej klasie przechodziliśmy liturgię podług kursu ułożonego po rosyjsku dla nas przez prefekta. W następnych klasach wykladał nam ksiądz Szyszkowski po polsku (po-cichu) katechizm, którego następnie uczyliśmy się z podręcznika, napisanego po rosyjsku przez jakiegoś księdza litewskiego. Wreszcie do historii kościoła dla klas wyższych odpowiedniego podręcznika, napisanego po rosyjsku, nie było. Wobec tego dyrektor pozwolił prywatnie posilkować się podręcznikiem, przetłumaczonym z języka niemieckiego na polski, pod warunkiem, by go nie przynosić do gimnazjum. Tu muszę zaznaczyć, że podręcznik ten był bardzo liche, a wykład księdza Brzozowskiego nie lepszy. Lwią część zajmowały herezje średniowieczne, których nikt z nas nie umiał. Natomiast inne działy, które należałoby właśnie uwypuklić wobec stronnego wykładu gimnazjalnego historii powszechnej, tu były traktowane arcyślabo. Odczułem to na egzaminie ostatecznym w ósmej klasie. Wyciągnąłem pytanie „o reformacji”. Dyrektor, pop, nauczyciele asystujący przysunęli się bliżej i ustawili uszy, by usłyszeć, jak też ja będę oświecał powstanie reformacji ze stanowiska katolicyzmu. Wstyd i rozgoryczenie opanowało mnie, ponieważ poza garścią znanych z historii powszechnej faktów mogłem przytoczyć jedynie tylko gołosłowne zaprzeczenie temu, by za pieniądze wydawano naprzód rozgrzeszenia. A przecież na powstanie reformacji poza błędami kościoła katolickiego, prawdziwymi lub urojonymi, złożyło się niemało przyczyn, nie mających nic wspólnego z ideą religijną, a nieraz mających na widoku cele arcypoziome. O tem nie nam nie powiedział ani prefekt ani podręcznik.

w całej pełni po jego śmierci, gdy na dyrektora gimnazjum przysłano osobistość, która chciała swą gorliwość na tem stanowisku zaznaczyć. Stało się to jednakże już po opuszczeniu przezemnie murów gimnazjalnych.

Jeśli bym teraz chciał scharakteryzować atmosferę, w jakiej wyrastało ówczesne pokolenie młodzieży polskiej w gimnazjum Siedleckim, tobym ją nazwał atmosferą przygnębienia. Nauka, trudna już przez to, że prowadzona w obcym języku, stawała się jeszcze trudniejszą z tego względu, że uczeń nie miał nic wspólnego z nauczycielem, że owszem wprost często nie wierzył w to, czego ten nauczał, że nieraz nauczyciela tego, jak wroga nienawidził. Nauczyciel nie budził w uczniu uczucia powagi, szczerości, wreszcie pewnej sympatji, jeżeli nie przywiązania. Zamiast tego w ich wzajemnym stosunku grała główną rolę ze strony ucznia bojaźń, nieufność, chęć podejścia i oszukania. Słuchając nauczyciela, trzeba było nieraz zęby zaciskać, a odpowiadając lekcję, mówić wbrew swoim przekonaniom i ukochaniom. Jak to wpływało na charakter tej młodzieży, łatwo zrozumieć. Najszersze pole do przycinków, szyderczych ukłuc i kłamliwych wycieczek przeciwko polskości nastreçały lekcje historii i języka rosyjskiego. Już sam program nauki historii, uwzględniający tylko trzy momenty z dziejów Polski, podane w odpowiednim oświetleniu, (dzieje samozwańców, wojny kozackie i rozbiory Polski), wystarczał, by gorliwy nauczyciel mógł się dostatecznie znęcać nad uczuciami naszymi. To też wykładający historję Rosji, Szmigielski, exunita, wychowaniec Uniwersytetu Warszawskiego, władający jeszcze niezupełnie dobrze językiem rosyjskim, znajdował szerokie pole do przedstawienia swoich prawomyślnych poglądów. Mniej sposobności po temu miał Iwanow, nauczyciel historii powszechnej, lecz za to mógł on używać do woli na katolicyzmie. Papiestwo, protestantyzm, husytyzm i t. p. dawały szerokie pole do wycieczek. Tu jednakże spotkał się ze stanowczym oporem prefekta, księdza Szyszkowskiego. Po jednym z bardziej jaskrawych wykładów Iwanowa w klasie czwartej — rap-

tem na lekcji religji któryś z uczniów zapytał prefekta: „Czy to prawda, proszę księdza prefekta, że papieże mieli dzieci?” Prefekt splonął i wybuchnął: „Kto ci to powiedział?” „A to profesor Iwanow tak nas uczy na lekcji historii”. Jak tam prefekt sprawę postawił wobec władzy, nie wiem. W każdym razie, zawdzięczając taktowi dyrektora Ponomarowa, Iwanow został usunięty. Coprawda, krzywda mu się nie stała, gdyż dostał posadę nauczyciela historii, a wprędce potem inspektora w siedleckiem gimnazjum żeńskim.

Języka rosyjskiego w niższych klasach nauczał Leon-tij Abramowicz. Człowiek bez wykształcenia i bez wychowania wyróżniał się żywiołową nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Pamiętam, gdy z początkiem reformy Tołsteja przyszedł Abramowicz do klasy trzeciej z oznajmieniem, że lekcji języka polskiego już odtąd nie będzie, ktoś z uczniów powiedział, że my zapomnimy mówić po polsku. Abramowicz z miną uśmiechniętą odpowiedział: „Tiem łuczsze dla was, wsie budietie goworit' po ruski”. Będąc nie tylko nauczycielem, lecz i inspektorem, Abramowicz miał możliwość często ujawniać swe uczucia do nas. Z bogatego słownika wymyślań do najpospolitszych należały: „polskij pan, swinja, polskaja morda”. Nie potrzeba było wiele na to, by się uczniowi dostało. W drugiej czy trzeciej klasie uczeń zahukany i zabiedzony na zapytanie, kto taką to rzecz napisał, odpowiedział Gogol zamiast Gogol. Jak się Abramowicz nie rzuci: „ach wy polskije pany, polskija swinji, to wam ruskij jazyk smierdit, u was tolko Kraszewskije da Korzeniowskije, ich tolko czytajecie, ja wam pokażu”. Wykład gramatyki rosyjskiej Abramowicz prowadził w ten sposób, że z jakiegoś podręcznika dyktował sposobem katechizmowym ułożone pytania i odpowiedzi. Tego trzeba się było uczyć na pamięć dosłownie. Przy wydawaniu lekcji patrzył on w książkę i, o ile kto cośkolwiek inaczej wystylizował, zaraz poprawiał. Zresztą bywały okoliczności, w których Abramowicz ten system zmieniał. Specjalnie nie lubił on dzieci inteligencji. Syn adwokata,

rejenta nie miał u niego sposobu wyjścia. Odpowiadał nie-
źle, lecz niedostłownie, Abramowicz wymyślał: „ty mi lepiej
nie odpowiesz, niż tu napisane, tak mi odpowiadaj”. Na
drugi raz biedny chłopiec nauczył się dosłownie i tak też
Abramowiczowi odpowiadał. Na to ten znowu: „ty mi nie
trzep, jak papuga, ty mi odpowiedz inteligentnie, swojemi
słowy”. Tak czy inaczej uczeń odpowiadał, zawsze w tym
razie dostawał jedynkę. Opowiadano jednakże sobie na ucho,
że były nawet w tych razach sposoby łagodzenia katońskiej
surowości Abramowicza.

Pod koniec mego pobytu w gimnazjum otrzymał on no-
minację na stosunkowo wysoką posadę naczelnika Dyrek-
cji Naukowej w Łodzi. Tam podobno czuł się bardzo dobrze

Rozumie się samo przez się, że nie ze wszystkimi nau-
czycielami układały się stosunki uczniów w tak jaskrawy
sposób, jak z Abramowiczem. Różnica ta dotyczyła jednakże
więcej formy zewnętrznej, niż treści. Zwłaszcza w klasach
wyższych z konieczności obowiązywała pewna wersalskość.
Chłopcy byli tu starsi, nie na wszystko można sobie było
z nimi pozwolić. Niemniej przeto wzajemny stosunek był
zawsze zimny, czysto urzędowy. Uczniowie przyzwyczajali
się z obowiązkowej pracy wykonywać tyle tylko, ile było
niezbędne dla promocji. Jeżeli można było od tej pracy
wykpić się, tem lepiej. Ten był zuch i zasługiwał na dobrą
opinię u kolegów, który umiał najlepiej nauczyciela po-
dejsć, oszukać, ćwiczenie tak ściągnąć, że się nauczyciel
nie poznał na tem. Nie znalazłem ucznia (przynajmniej z tych,
którzy najbliżej mnie stali klasą), by tenże przeczytał coś
więcej z Odysei, Iliady, Eneidy lub z innego utworu ponad-
to, co obowiązywała lekcja. A jednakże w innych gimna-
zjach, nawet u nas w Królestwie, zdarzały się takie wypad-
ki. W Siedlcach byłoby to uważane za śmieszne. Uczyliśmy
się gramatyki, rozbioru form gramatycznych w tych ustę-
pach, które nam zadawano do tłumaczenia, ponieważ było
to niezbędne. Gdy jednakże, pamiętam, nauczyciel kiedyś
zaządał, by opowiedzieć treść tego ustępu z Eneidy, któ-
ryśmy w ciągu kilku ostatnich lekcji tłumaczyli, nikt z ca-

lej klasy nie podjął się tego. A przecież była to najpiękniejsza z całego utworu pieśń druga. Tak samo rzecz się miała i z innymi przedmiotami. Jak się to odbijało na charakterze młodzieży, na ich późniejszej pracy, dodawać nie potrzebuję. Każdy z nas marzył o tem, żeby jaknajprędzej opuścić te przekłete mury. Gdy mi kiedyś później opowiadał były wychowaniec Uniwersytetu Genewskiego, że dzieci jego gospodyni w Genewie płakały, gdy z powodu święta lub innej przyczyny nie mogły iść do szkoły, wierzyć temu nie chciałem; zdawało mi się to niemożliwem, gdyż tak odskakiwało od naszych stosunków.

Klasa siódma i ósma były przepełnione troską o oczekującym uczniów egzaminie, który mógł się stać katastrofalnym nie tylko dla nich, lecz i dla nauczycieli. Przecież wszystkie ćwiczenia piśmienne z tego egzaminu szły do kuratorjum w Warszawie, gdzie miały być powtórnie rozpatrywane. Otóż nauka w ciągu tych dwóch lat, (a zwłaszcza ostatniego) odbywała się pod wrażeniem tego egzaminu. Nauczyciele, zwłaszcza gorsi, żyli pod większym chyba strachem, niż nawet uczniowie. To zapewne wpływało na pewne, że tak powiem, złagodzenie wzajemnych stosunków. Nawiasem muszę tu zaznaczyć, że nauczyciele, zamiast uspakajać, swem straszeniem i swem zachowywaniem się przed egzaminem w wysokim stopniu denerwowali młodzież. Już byłem sporo lat lekarzem, a jeszcze, ilekroć byłem bardzo przemęczony, zwłaszcza moralnie, miewałem mordercze sny o tym egzaminie. Śniło mi się wówczas, że mam zdawać ostateczny egzamin, że nie jestem przygotowany, że zatem zostanę obcięty i będę musiał jeszcze rok w tem piekle pozostać. Budziłem się oblały zimnym potem. Wielu zapytywanych przezemnie kolegów odpowiadało, że zupełnie takież sny i oni miewali.

Tu muszę dodać, że pod koniec mego pobytu w gimnazjum zaczęła się zaznaczać pewna dążność do zbliżenia nauczycieli ze starszymi uczniami. Czyje to były inspiracje, czy one powstały na miejscu, czy też, co prawdopodobniejsze, płynęły z góry, powiedzieć nie umiem. Dość, że

zaczęło nam napomykać o tem, iż władze noszą się z myślą urządzania czegoś w rodzaju literacko-muzycznych zebrań, na którychby uczniowie wobec nauczycieli odczytywali swe wypracowania; na temat ich odczytów mogłaby się rozwijać dyskusja i t. p. Na tośmy odpowiadali, że nam brak czasu, że i bez tego jesteśmy obciążeni bardzo pracą, a pozatem czeka nas przecież egzamin ostateczny, do którego musimy się przygotowywać. Skończyło się na tem, że gdym był w 7-ej klasie, dyrektor w czasie karnawału urządził u siebie tańce, na które zaprosił kilku uczniów z siódmej i ósmej klasy. Chłopcy dobrze tańczyli mazura, co się tak gościom podobało, że po upływie paru tygodni znowu kilkunastu uczniaków otrzymało zaproszenie na takież zebranie. Nie wiem, co tam jednakże zaszło w tym czasie, dość, że zawezwanych odproszono i więcej zebrań nie urządzano.

Gdym wstępował do gimnazjum Siedleckiego, a poniedział i później także, główną masę uczącej się młodzieży stanowiły: drobne mieszczaństwo, drobna szlachta (Podlasie jest jej główną siedzibą od czasów Jana Kazimierza), synowie oficjalistów wiejskich i niższych urzędników. Włóścian było jeszcze stosunkowo niewiele. Do tego trzeba dodać małą garstkę synów inteligencji miejskiej (adwokatów, rejentów, lekarzy) oraz ziemiaństwa. Tych ostatnich było niewiele, a i ci, którzy byli, zazwyczaj stanowili element gorszego gatunku. Zamożniejsze ziemiaństwo przeważnie wysyłało synów na kształcenie do Chyrowa lub Krakowa, jeżeli nie dalej za granicę. Inni pomieszczali chłopców w Warszawie lub nawet kształcili w domu pod kierunkiem prywatnego nauczyciela. Dopiero, jeżeli się chłopiec tak rozlobuzował, że go trzeba było bliżej domu ściągnąć, pomieszczano go w Siedlcach. Takich kolegów mieliśmy stale pewną ilość w klasach niższych. Byli to zwykle chłopcy starsi, którzy się razem ze sobą trzymali, siadywali na ostatnich ławkach, nie uczyli się prawie wcale, czas spędzali poza szkołą na włóczeniu się, graniu w karty i t. p. Zwykle kończyli oni swą naukę na klasie drugiej lub trzeciej

; nie przypominam sobie, by którykolwiek z nich wyszedł poza czwartą klasę. Co się z nimi następnie stało, nie wiem, gdyż z żadnym z nich w życiu później się nie spotykałem.

Unitów było stosunkowo niewielu, najwięcej z Sokółowskiego. Już ich wtenczas pomału nawracano, mieli jednakże jeszcze swą kaplicę w sali zebrań w gimnazjum, gdzie unicki ksiądz Chojnacki odprawiał im nabożeństwo, gruntownie od katolickich naleciałości oczyszczone. Trwało to jednakże niedługo, gdyż po upływie niespełna trzech lat nabożeństwa te zniesiono, a wprędce potem uczniom nakazano przechodzić na prawosławie.

Uczniów prawosławnych w gimnazjum mogło być wówczas nie więcej, sądzę, niż 10%.

Składały się na to dzieci urzędników rosjan, oraz synowie byłych unitów z za Buga (gub. Grodzieńska). Tych ostatnich ściągano do Siedlec stypendjami, by z jednej strony powiększyć ilość uczniów rosjan, z drugiej zaś strony, by ich przykładem wpływać na miejscowe, jeszcze trwające przy unji elementy. Nawiasem mówiąc, rząd rosyjski niewiele tą drogą osiągnął. Ci chłopcy mieszkali zwykle na polskich stancjach razem z nami (rosyjskich pensjonatów nie było), razem się uczyli i bawili. Stąd prędzej oni się polonizowali, niż nasi unicy przez nich rysufikowali. Zdarzyło mi się z paroma z nich spotkać potem w życiu, i wyniosłem wrażenie, że, pomimo prawosławia, więcej oni byli w duchu polakami, niż rosjanami. Jeden z nich np. chory na płuca, przyjechał z Cesarstwa do Zakopanego, zamiast jechać na południe Rosji. Wracając, zatrzymał się w Warszawie, by się z kolegami zobaczyć.

Bardzo mało było wówczas żydów w gimnazjum Siedleckim. Osobiście np. o ile sobie przypominam, w żadnej klasie z żydem nie kolegowalem.

Z tego, cośmy wyżej mówili, widać, że w czasach mego pobytu w gimnazjum Siedleckim, — zwłaszcza w niższych czterech klasach, główną masę kształcącej się młodzieży stanowiły dzieci półinteligencji lub nawet ludzi zupełnie prostych. Wielu z tych chłopaków szło do szkoły, nie wy-

nosząc z domu nawet świadomego poczucia narodowego. Dodać należy, że były to czasy powstaniowe, czasy wielkiego przygnębienia, zatrąty wiary w dotychczasowe ideały. Przecież to wówczas tworzył się kierunek pracy organicznej, nakazujący zarzucić marzenia, a brać się do zdobywania chleba. Oddając chłopca do szkoły, rodzice kładli mu w głowę, że musi on myśleć o zdobyciu kariery, że nie powinien, broń Boże, narażać się na nic, co by tę karierę mogło zwichnąć. Na tym punkcie inteligencja ówczesna była może nawet bardziej wrażliwa, aniżeli ludzie prości. Pamiętam, w niższych klasach gimnazjum syn pana rejenta, lekarza czy aptekarza był pilnie strzeżony, by się z kolegami nie zadawał, by u nich nie bywał. U siebie pozwalali bywać jednemu, dwum kolegom syna i to mniej więcej z tej samej siery. Gdy sobie to wszystko uprzytomniam i porównywał z tymi czczymi wysiłkami szkoły, by tę, zdawało się, inertyną masę zrusyfikować, to czoło chylę przed naszą moralną siłą narodową.

A teraz radbym jeszcze nieco powiedzieć o życiu pozaszkolnym ówczesnej młodzieży gimnazjalnej, o jej troskach i uciechach. Poza tymi, którzy mieszkali u rodziców lub bliskiej rodziny, ogół uczniów mieścił się na t. zw. stacjach, które dzieliły się na trzy kategorie. Do pierwszej, najmniej licznej, kategorii należały pensjonaty, w których za mieszkanie i życie płacono gotówką. W pensjonacie drugiej kategorii za ucznia płacono częściowo pieniędzmi, częściowo t. zw. leguminami (produktami). Wreszcie w pensjonatach trzeciej kategorii uczniowie mieli swoje, z domu przywożone produkty, które codziennie wydawali gospodyni do gotowania, dokupując tylko chleb i mięso.

Ja osobiście mieszkalem w pensjonacie, czyli, jak się nazywało, stałem na stacji drugiej kategorii. W dwóch pokojach mieszkało nas kilkunastu uczniów z trzech najniższych klas. Poza tym trzech starszych uczniów (jeden z klasy piątej i dwóch z siódmej) zajmowało dwa maleńkie pokoiki. Jeden z nich był t. zw. starszym na stacji, za co otrzymywał darmo życie i mieszkanie; poza tym

większości z nas dawał korepetycje za oddzielną dopłatą. Prawie każdy uczeń pierwszych dwóch klas, poza największymi chyba biedakami, brał korepetycje ze względu na trudności, wynikające z uczenia się w obcym mu języku. Takie korepetycje dawali uczniowie wyższych klas, poczynając od piątej. Zależnie od zdolności i pilności korepetytora, taka korepetycja bywała dla ucznia mniej lub więcej owocna. Ja pod tym względem nie miałem szczęścia. W pierwszej klasie miałem korepetytora, który niewiele naszymi lekcjami się zajmował, w drugiej takiego, który niewiele umiał, tak, że, o ile sam nie zrobiłem zadania z arytmetyki, z której byłem najbardziej słaby, mój korepetytor, pomimo że był w siódmej klasie, nigdy go nie zrobił.

Korepetytor, mieszkając ze swymi uczniami na tej samej stancji, obowiązany był pomagać im w przygotowaniu lekcji, sprawdzać, czy się ich nauczyli, a o ile był t. zw. starszym, pilnował porządku, godził powaśnionych i karał winowajców. Do rzędu bardzo pospolitych należała kara cielesna, którą stosowano zarówno w szkole, jak i na stancji. W gimnazjum, co prawda, już zaczęto ograniczać bicie uczniów. Za złe stopnie karano cielesnie tylko wyjątkowo. Natomiast za sprawowanie naganne karę cielesną stosowano w skali bardzo rozległej. Na podwórzu gimnazjalnym, gdzie leżało poukładane w sągi drzewo opałowe, stale suszyły się powtykane za dyle pęki różeg. Ażeby dostać w skórę, na to nie potrzeba było wiele. Nauczyciel przyłapał nieudolnie narysowaną przez ucznia drugiej klasy karykaturę inspektora — chłopak dostał w skórę; uczeń pierwszej klasy niechcący podbił koledzę w zabawie oko, także dostał w skórę. Przejmujące dreszczem przywoływanie pedela na korytarzu: „Podniesinskij różgi” powtarzało się bardzo często, a towarzyszyły mu zwykle płacz i wypraszanie się delikwenta. A i na stancji dyscyplina lub pasek (już nie różga) stanowiły chleb powszedni. W stosowaniu ich nawet używano szerszej skali, gdyż zaniedbywanie się w naukach było włączane do teźże kategorii przestępstw.

Myśmy na naszej stacji nie posiadali dyscypliny; to też w razie potrzeby (zresztą dość często) wypadało pożyczać na stacji sąsiedniej, co większych przeszkód nie napotykało. Stosowanie kary cielesnej na wielu stacjach miało miejsce chyba w ciągu całego mego pobytu w gimnazjum.

Początek zwykłego dnia uczniowskiego zaczynał się o godz. 8-ej rano. Po wstaniu i umyciu się słaliśmy łóżka, odmawiali pacierz i zjadali śniadanie, względnie sakramentalną kaszę z masłem lub słoniną. Białą kawę z ciastem dostawaliśmy rano tylko w niedzielę. Ta kasza, zresztą higieniczniejsza, niż dzisiejsza herbatka, często przedstawiała powód do narzekań, zwłaszcza, gdy codziennie powtarzała się ta sama. Na jednej ze stacji, gdy przez czas dłuższy codziennie dawano kaszę owsianą, raptem zaczęli kiedyś uczniowie rzeć, brykać, kozły fikać, przeskakiwać przez stół i krzeselka. Gdy wylękniona gospodyni przybiegła, oświadczono jej, że to tak po owsie instynkty żrebięce opanowały stołowników.

Po śniadaniu, zabrawszy w ręce książki, zeszyty, kalendarz i pióro (tornistrów wówczas nie mieliśmy) szybko biegliśmy do szkoły. Tu zwykle siedzieliśmy od 9-ej do 2½, o ile rozumie się, ktoś z powodu kary nie odsiadywał dłużej. W tem od 12 do 12½ mieliśmy dłuższą pauzę, podczas której zjadaliśmy t. zw. popaskę, czyli zabrany z domu chleb z masłem lub serem. Po powrocie do domu jedliśmy obiad o trzeciej, skromny lecz dostateczny, poczem przysługiwał nam kwadrans wypoczynku. Teraz trzeba się było brać do przygotowywania lekcji. Zimą, gdy dzień był krótki, nauka odbywała się przeważnie przy świetle sztucznem. Na środku dużego stołu stała świeca łojowa, a my, obsiadłszy wokół i zatkawszy obiema rękami uszy (by nie słyszeć sąsiadów), półgłosem odczytywaliśmy i powtarzaliśmy na pamięć słowa podręcznika. Świece łojowe, poza lichem światłem, mają jeszcze tę wadę, że je trzeba co pewien czas objaśniać, t. j. obcinać knot niezupełnie zwęglony. Do tego służyły specjalne szczypce, o których na naszej stacji tyl-

ko tradycja głosiła, że kiedyś były. Trzeba było wobec tego obrywać knot nadpalony poślinionymi palcami. Na mocy wzajemnej umowy mieliśmy to wykonywać kolejno. Otóż wszystko było w porządku, dopóki kolej przypadała na malców; gdy jednakże obowiązek ten miał przypaść na kogoś z dryblasów (a mieliśmy ich trzech wśród siebie z klasy drugiej i trzeciej), ten wychodził i nie wracał. Ogół, zniecierpliwiony lichem światłem, przekazywał funkcję objaśnienia świecy dalej z kolei siedzącemu, co tenże pod naciskiem woli ludu musiał spełnić. Dopiero wówczas dryblas spokojnie wracał na swoje miejsce. Za to nie pozwoliliśmy się tak „nabierać” na punkcie pieca. Zima r. 1870 na 1871 rok była bardzo surowa, a nasza stacja zimna. Otóż przysuwaliśmy stół do pieca tak, że dwóch odrazu mogło się grzać przy tymże. I tu trzeba było zaprowadzić kolejkę, której surowo pilnowaliśmy. Nawiasem mogę tu dodać, że lampę naftową otrzymałem dopiero w trzeciej czy czwartej klasie.

Około godziny 8-ej wieczorem dostawaliśmy kolację, składającą się herbaty i chleba, skąpo posmarowanego masłem lub szmalcem. O 9-ej gospodyni odmawiała z nami t. zw. modlitewkę, do której klękali także dwaj prawosławni (exunici) zza Buża, którzy wchodziłi w poczet naszej gromadki. Spać kładliśmy się zwykle około 11-ej.

Pewną odmianę tej szarzyzny dnia powszedniego przedstawiała niedziela. Już w sobotę po obiedzie a także w niedzielę przed obiadem mieliśmy prawo pobawić się, to też najczęściej do lekcji na dobre zasiadaliśmy dopiero w niedzielę po obiedzie.

Najulubieńszą naszą zabawą bywała piłka. Palant, wymagający większej przestrzeni, większej liczby uczestników, najczęściej leżał tylko w sferze naszych pragnień. Zato z całą namiętnością grywaliśmy w ścianki i ekstrę. Zwłaszcza ulubiona była ostatnia, polegająca w głównych zarysach na tem, że czterech chłopców, ustawionych na rogach czworoboku, rzucało do siebie piłkę dotąd, aż na hasło: „trzy” jeden z nich winien był trafić w skaczącego w środ-

ku czworoboku piątego. Nie rozumiem, dlaczego zapomniano o tej tak wesołej, ruchliwej i wyrabiającej zwinność grze. Widocznie i tu, jak w ubraniu, strona mody ma przewagę nad stroną zdrowia i estetyki. Poza piłką do ulubionych gier naszych należał t. zw. arbus i gąsior. Jedna z sąsiednich stacji posiadała małe kręgle, które nam co pewien czas pożyczala. Wówczas graliśmy do upadłego, jako że stawkę do wygrania stanowiła babka śmietankowa z cukierni Frycza, kosztująca aż trzy grosze. Do rzędu bardzo rozpowszechnionych zabaw należała gra w stalówki, prawie identyczna z grą w guziki. Grano na stacjach, grano w klasie podczas dużej i podczas małych zmian. Niektórzy uczniowie posiadali po paręset stalówek, a były to istne zbiory muzealne, w których najcenniejsze okazy wyróżniały się nie przydatnością do pisania, lecz wielkością. Za takiego, jak go zwano, buldoga w handlu zamiennym (taki tylko uznawano) płacono kilka zwyczajnych okazów. A trzeba tu dodać, że stalówka była jeszcze do pewnego stopnia nowicjuszem, gdyż wszyscy mieliśmy w świeżej pamięci, jak to niedawno jeszcze piórem gęsim wtajemniczano nas w pierwsze arkana sztuki pisarskiej.

Zimą, gdy zabawy na dworze były niemożliwe, grywaliśmy w mieszkaniu w „dzwonek i młotek“, a czasami ukradkiem w karty w „pół do dwunastej“. Najczęściej atoli czytaliśmy książki. Najulubieńszą naszą lekturę stanowiły podróże, zwłaszcza sensacyjne opowiadania Mayne Reade'a, Coopera i innych. (Juljusza Verne'go jeszcze wówczas nie znaliśmy). Pamiętam, jak Dzieci Kapitana Granta czytaliśmy jednym tchem całą niedzielę; toż samo Wędrowca Leśnego. Czytaliśmy po polsku i po rosyjsku, może nawet wówczas po rosyjsku więcej, gdyż biblioteka gimnazjalna dostarczała nam książek poddostatkiem. Nie mieliśmy tylko zamiłowania do autorów rosyjskich, biorących tematy z życia rosyjskiego. Jakoś tak to było dla nas obce, tak nudne, żeśmy tych książek brać nie chcieli, przekładając nad nie tłumaczenia, zwłaszcza opisujące walki z indjanami, po-

lowania, przygody rozmaitych Robinsonów szwajcarskich, meksykańskich i innych. O polskie książki było trudniej, a i strzec się było trzeba pilnie, by odwiedzający stancję nauczyciel, wzgl. później (po reformie Tołstoja) pomocnik gospodarza klasowego, nie znalazł przy rewizji takiej książki. Przecież w teorii zalecone nam było nawet na stacji mówić po rosyjsku. Niemniej przeto bądź to od kolegów, bądź z czytelnicy dostawaliśmy i polskie książki. W owym czasie Siedlce posiadały dwie czytelnice, jedną Białostockiej na rogu ulicy Sądowej i Warszawskiej, drugą zaś Strumpfa w domu, gdzie mieścił się hotel angielski. Świetny sklep Białostockiego (ongi szypra żeglugi wiślanej) miał charakter poniekąd bazaru, gdyż zawierał najróżnorodniejsze przedmioty, jako to: nakrycia stołowe, bieliznę, narzędzia muzyczne, książki i t. p. Za moich czasów gimnazjalnych już ten sklep szybko chylił się do upadku, ponieważ wdowa po Białostockim nie umiała sobie poradzić. Za to dobrze się rozwijał niedawno powstały sklep Strumpfa, człowieka uczciwego a niezmiernie pracowitego. Obok materiałów piśmiennych miał on księgarnię wraz z czytelnią; u niego też kupowaliśmy wszystkie podręczniki. W tych to dwóch czytelnicach udawało się nam niekiedy za niewielką opłatą otrzymywać książki polskie do przeczytania. Uczniowie klas wyższych mieli łatwiejszy sposób otrzymywania polskich książek. Otóż nieraz się zdarzało, że korepetytor, widząc w uczniu chęć do czytania, wetknął mu po cichu nawet książkę zakazaną. Tym sposobem, będąc w pierwszej klasie, już czytałem trzecią część Dziadów i Wernyhore. Najczęstszą jednakże i najulubieńszą lekturą polską w owych czasach stanowili dla nas Kraszewski, Korzeniowski i Kaczkowski. Te książki wielu z nas przywoziło po cichu z domu od rodziców i wypożyczało kolegom.

Miała ta lektura jednakże i swe ujemne strony. Zwłaszcza opisy krajów egzotycznych, przepelnionych przygodami podróży, które jednakże dla bohaterów zawsze się dobrze kończyły, wszystko to niepomiernie podniecało wyobraźnię młodych czytelników, podsuwając im myśl wypró-

bowania tego osobiście. Na tem tle powstawały co pewien czas zbiorowe ucieczki (po dwóch, po trzech odrazu). Zwykle kończyło się na kilkodniowej podróży, poczem przyłapany bohater ze skrucą powracał do domu. Zresztą takie eskapady nie stanowiły rzadkości i w innych gimnazjach. Wśród uciekających zdarzały się jednakże niekiedy tak zacięte jednostki, że uciekały po parę razy z kolei. Jeden z moich kolegów z 2-ej czy 3-ej klasy uciekał trzy razy. Za drugim razem dotarł do Francji, a za trzecim podobno do Ameryki. Co się z nim ostatecznie stało, nie wiem. Będąc studentem Uniwersytetu, spotkałem się z takim ex-uciekiniereń z innego gimnazjum. Był to student farmacji. Opowiadał mi, że pędzony żądzą bicia słoni i bawołów, uciekł z gimnazjum i oparł się o New-York, gdzie parę miesięcy żył z żebraniny. W końcu dostał się do browaru jakiegoś Niemca, gdzie choć kulawo, mógł się porozumieć. Tu otrzymał zajęcie, polegające na myciu i noszeniu beczek. Pół roku tam pracował, aż wreszcie zebrał sobie tyle, że mógł wracać do kraju, zrezygnowawszy z walki z indjanami.

Wielką różnorodność w naszym szarem życiu uczniowskim stanowiły w czerwcu wycieczki do kąpieli. Chodziliśmy do Rozkoszy, rzadziej do Sekuły całymi stancjami wraz ze starszymi uczniami. Trzeba się było przytem dobrze pilnować, by nie było katastrofy. Pomimo to za moich czasów uczniowskich było parę wypadków topienia się, na szczęście zakończonych dobrze.

Zimą biegaliśmy na t. zw. Księżą Gródź na ślizgawkę. Tylko zamożniejsi mieli łyżwy. Nasza brać pospolita musiała się zadawałniać ślizganiem na butach. Lecz od czegóż pomysłowość młodocianych umysłów. By urozmaicić to monotonne ślizganie się na butach wciąż po tej samej linii, wprowadzono, że tak rzekę, ślizganie z figurami. Na czele jechał przywódca, komenderujący taką lub inną figurę (strzelca, kowala i inne), a za nim sunął długi szereg, skrupulatnie wypełniający rozkaz.

Wielką rozkosz sprawiał nam teatr *). Cóż, kiedy stanowił on przyjemność rzadko dostępną, jako że bilet uczniowski na paradyz kosztował złotówkę. To też skrupulatnie dobieraliśmy sztuki, by lekkomyślnie nie wyrzucać pieniędzy na próżno. Najbardziej przypadaly nam do gustu długie a wzruszające melodramaty. Zresztą i sztuki w rodzaju „Podróż diabła na wesele” znajdowały także nasze uznanie. Mieliśmy na teatr wyznaczone przez władze gimnazjalne soboty, i pozwolenia wydawano nam bez trudności. Mogłoby się wydać dziwnem, że pozwalano nam chodzić do teatru, rozkoszować się słowem polskim, wygłaszanem ze sceny, wówczas, gdy zabroniono nam mówić i czytać po polsku.

Ta sama myśl przychodziła mi i później nieraz do głowy, gdym już w Warszawie widział stosunkowo względne zachowanie się władz rosyjskich odnośnie do teatru polskiego, podczas gdy wpoprzek stawano wszelkim poczynaniom w innych dziedzinach życia naszego. Objaw ten wytłomaczył mi dopiero stary służbista, emeryt, pan radca, o ile mnie pamięć nie zawodzi, Radziszewski. Rozpoczął on karierę w kancelarji namiestnikowskiej Paszkiewicza, a potem długie lata pełnił obowiązki urzędnicze w kancelarjach innych naszych wielkorządców. Była to kronika chodząca rozmaitych niezmiernie interesujących a często ogółowi nieznanych faktów. Otóż kiedyś w domu mojego pacjenta, gdzie radcę poznał, tenże przy okazji opowiadał, że z kancelarji Paszkiewicza co rok szło do Mikołaja szczegółowe sprawozdanie o sytuacji w Królestwie Polskiem. o stanie ekonomicznym, o stanie umysłowym itp. Jakoś pod koniec panowania Mikołaja Paszkiewicz wysłał sprawozdanie, w którym zaznaczył, że w umysłach Polaków daje

*) Po powstaniu początkowo nie pozwalano dawać polskich przedstawień w Siedlcach. Dopiero, o ile mnie pamięć nie myli, w 1868 roku otrzymał pozwolenie na szereg przedstawień Ratajewicz. Pomimo że przedstawienia odbywały się w jakiejś szopie, miały one niebywale powodzenie. To też następnie prawie co rok na parę miesięcy zjeżdżała do Siedlec trupa Ratajewicza, a później Modzelewskiego.

się zauważyć pewna zmiana: nawołują do oszczędności, do szerzenia oświaty, podniesienia rolnictwa i przemysłu i t. p. Mikołaj własnoręcznie napisał na marginesie: „Dać im rozwleczenia, uwieliczyć posobje na tieatr”. Z tą adnotacją papier powrócił do Warszawy. Przypuszczam, że takąż samą zasadą kierował się rząd i za moich uczniowskich czasów.

Byłem w pierwszej klasie, gdy się toczyła wojna francusko-pruska. Rozumie się, wszystkie nasze sympatje były po stronie francuzów. Nie było chyba chłopca polaka w całym gimnazjum, któryby nie nosił w sercu tradycji napoleońskich, tradycji o księciu Józefie. To też z niepokojem łowiliśmy każdą wieść o zwycięstwach lub porażkach. Wiadomości było wogóle niewiele, a my malce mogliśmy wiedzieć i rozumieć jeszcze mniej. Nagle gruchnęła wieść o wzięciu Sedanu. W nas grom uderzył; popłakaliśmy się, jak bobry, na stacji, a w dziecięcych umysłach naszych pogrom francuzów skojarzył się z ostateczną zagubą Polski.

Nie wiem, jak jest obecnie. Za moich czasów gimnazjalnych przejście z klasy czwartej do piątej było wybitnym momentem w życiu każdego ucznia. Przedewszystkiem musieliśmy wszyscy zdawać egzamin z przebytych czterech klas *), a następnie w klasie piątej zmieniał się wyraźnie stosunek nauczycieli do uczniów, a także poniekąd wzajemny stosunek pomiędzy uczniami. Już przy egzaminie wielu słabszych uczniów odpadało; i z tych, którzy egzamin zdali, niemało szło odrazu do seminarijów duchownych, do aptek i do innych zawodów. Stąd w klasie piątej liczba uczniów malała. Nauczyciele zaczęli ich traktować, jako napół-dorosłych, zwracając się do nich per „wy” a nie per „ty”, jak było przedtem. A i z karami postępowali oględniej. Stawianie w kącie, karanie klęceniem, sadzanie do kozy zamieniano zwykle na wymówkę z zapisaniem do dziennika

*) Reforma Tołstoja obok egzaminów przejściowych w każdej klasie wprowadziła jeszcze egzamin czterech pierwszych klas przy przechodzeniu z szóstej do siódmej i wreszcie z ośmiu klas (co prawda, nie ze wszystkich przedmiotów) — egzamin maturalny.

lub bez tego. Za to tu częściej niż w innych klasach groziło uczniowi wydalenie za nieprawomyślność z prawem wstąpienia do innego gimnazjum lub, co częściej bywało, bez takiego prawa.

Znalazłszy się w mniejszej ilości niejako na drodze elekcji, uczniowie piątej klasy zaczęli się więcej zżywać z sobą, a ten ich stosunek wzajemny zacieśniał się w następnych latach coraz bardziej, gdy ich garstka coraz bardziej malała. Jakiemu przesiewaniu młodzież podlegała, można stąd wnioskować, że z pomiędzy tych, co ze mną wstąpili do pierwszej klasy w liczbie coś około 90, skończyło nas, idąc bez zatrzymania się, trzech. Jeżeli dodać jeszcze dwóch lub trzech (nie więcej) takich, którzy się gdzieś po drodze zatrzymali i skończyli później, to wypadnie ogólna liczba pięciu do sześciu kończących gimnazjum na blisko 90 wstępujących do tegoż.

Od klasy piątej zaczęli uczniowie udzielać korepetycji swym kolegom z klas niższych. To ich zniewalało do zachowania większej powagi.

Z całego mego pobytu w gimnazjum najmilej zarysowują się w mej pamięci czasy, spędzone w piątej i szóstej klasie. Tu się zacieśniały węzły przyjaźni i koleżeństwa, tuśmy zaczęli się zbierać, urządzać wspólne spacery, toczyć dyskusje, przestawaliśmy być sypkim piaskiem, zaczęliśmy się czuć siłą zbiorową. Pomnę te nasze wspólne spacery do Użanowa, gdzie po rozległych a gorących dyskusjach, często wykraczających poza ciasny krąg naszych trosk szkolnych, spożywaliśmy ucztę lukullusową, składającą się z kwaśnego mleka i razowego chleba; a kosztowało to po kilkanaście groszy od osoby. Jak sen minęły te czasy, a uczestnicy tych uciech przeważnie leżą już w grobie. Niewielkiej tylko garści nas niedobitków sądzone było doczekać spełnienia się tych pragnień, tych marzeń, które wówczas wydawały się nam tak beznadziejne.

Czytaliśmy dużo, a czytało się wszystko, co w ręce wpadało: powieści, prace historyczne, (Szkice Szajnochy), popularne prace przyrodnicze, choć nie obce nam były tak-

że Tajemnice Madrytu lub romanse kryminalne Gaborieau. Zapragnęliśmy nawet wydawać swoje pismo, lecz skończyło się tylko na jednym numerze, okazałym, co prawda, ale jedynym. Nie mieliśmy jeszcze dostatecznej wprawy pod tym względem, a i starsi, z którymi rozmawialiśmy, odradzali nam to jaknajusilniej ze względu na czujne oko władz szkolnych. Dopiero, o ile wiem, idący za nami rocznik począł wydawać małe ulotne pisemko, które się czas dłuższy trzymało.

W klasie siódmej sytuacja nasza się pogorszyła. Przybyło dwóch nowych nauczycieli, do których nam było trudno się przyzwyczaić. Łacinę objął Sierajczkowski, podobno były unita z Galicji, który, jak opowiadano, w posagu za żoną, kuzynką wysokiego dygnitarza w Warszawie, otrzymał protekcję, względnie posadę w Siedlcach. Czy tak było, nie wiem, w każdym razie taki nieuk, nieprzygotowany do nauczania nawet w niższych klasach, niemógłby bez protekcji dostać wykładów odrazu w siódmej klasie. Czując swoją miernotę, Sierajczkowski odrazu starał się

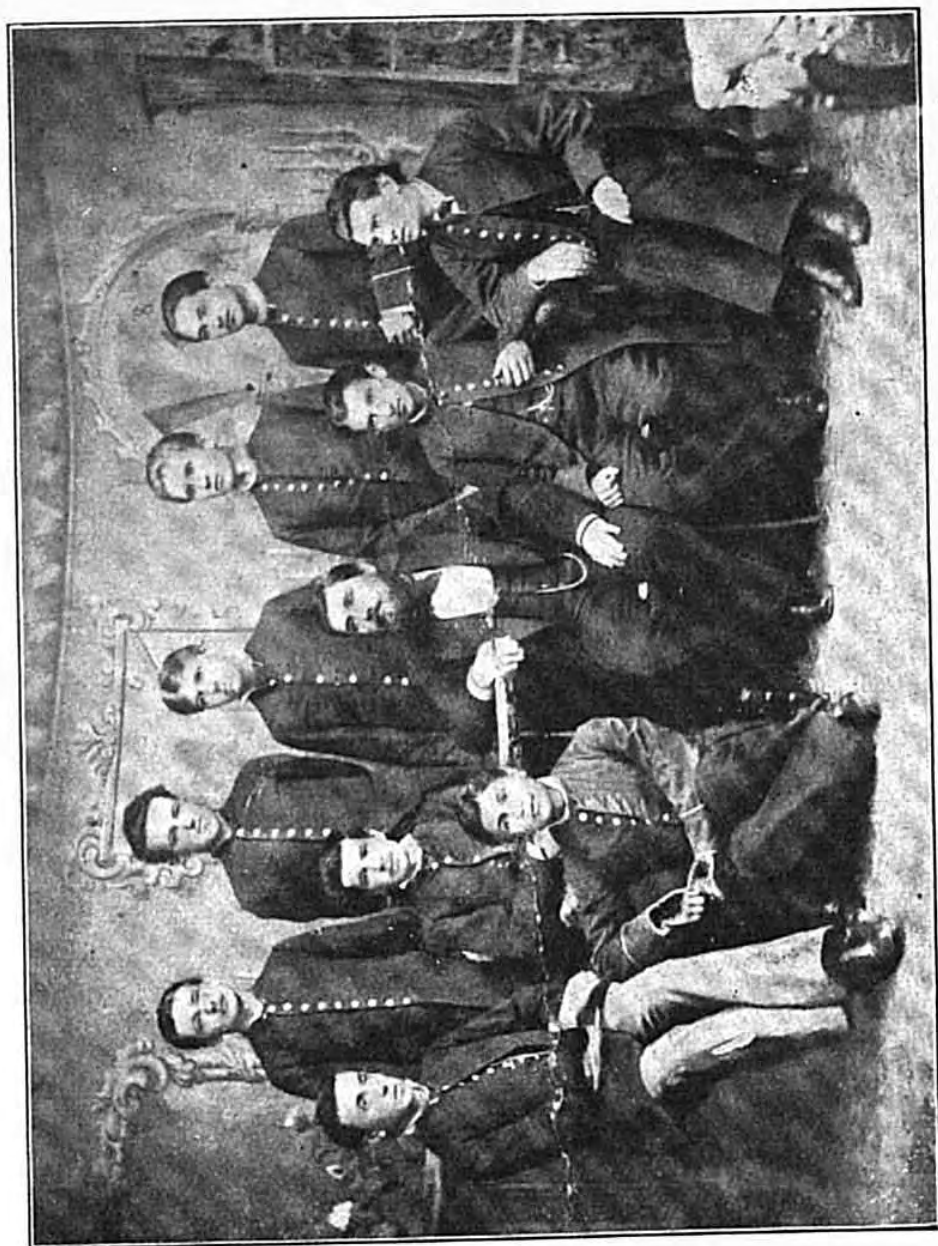


Klasa 7 i 8 z r. 1880/1

zaimponować swą surowością. Wytworzyło to nastrój bardzo niemiły. Z czasem, gdyśmy Sierajczkowskiego bliżej poznali, jużemy sobie z niego absolutnie nic nie robili, było to jednakże dopiero w klasie ósmej.

Drugą naszą zmorą w siódmej klasie był nauczyciel języka greckiego, Sierociński. Także exunita z polską kulturą, dla karjery rosjanin, musiał mieć w duszy rozdźwięk, który go uczynił zgryźliwym, czepiającym się ucznia byle o co, wysoce niewyrozumiałym. Przybył na swą posadę w drugim półroczu, nie zdążył nawet zapoznać się z uczniami, zadał nam ćwiczenie klasowe, z którego wystawił stopnie odrazu za dwa kwartały. W klasie siódmej, gdzie stopnie kwartalne mają w końcu roku ogromne znaczenie, stało się to dla wielu katastrofalnym. To było powodem, że niektórzy zupełnie dobrzy uczniowie przepadli, a nas z ogólnej liczby 17 czy 18 do klasy ósmej przeszło tylko siedmiu. To nas z góry w stosunku do Sierocińskiego bardzo źle usposobiło. Z czasem, gdyśmy zobaczyli, że przedmiot swój umie, że uczy dobrze, że wiele można w nim wytłomaczyć jego neurastenją, czy innym stanem chorobowym (w parę lat potem umarł na suchoty), stosunki nasze wzajemne jakoś lepiej się ułożyły. Za to nastąpił ostry zatarg pomiędzy nim a uczniami, o jedną klasę niżej od nas będącymi. Miało to dla obu stron bardzo niemiły przebieg. Sierociński z wielką goryczą mówił o tem do nas, wówczas uczniów ósmej klasy. Widać było, że to go moralnie bardzo podkopało. Z drugiej strony dla uczestników tego zajścia omal nie zakończyło się ono katastrofalnie. Sądzę, że bliższe szczegóły poda ktoś z biorących udział w tej sprawie.

Oto i dobiegam końca mych wspomnień gimnazjalnych. Dałoby się jeszcze niejedno powiedzieć, lecz byłyby to już tylko szczegóły, nie mogące zmienić ogólnego obrazu. Zresztą poza mną jest jeszcze szereg innych współpracowników, którzy może udolniej odemnie to zrobią. Miną lat dziesiątki, przyjdą nowe pokolenia, a z nas, piszących tę Księgę, śladu już nie będzie. Niech też ona wobec naszych następców zaświadczy o szczytnych marzeniach i ciężkich przeżyciach naszych lat młodzieńczych.



*Maturzyści 1881 r. z inspektorem Sol skim
Kozerkiewicz, Stanisław Bądzynski, Brzozowski, Omelanowicz, Kazmierz Maciejewski, Gracjan Piszczewski, Wacław Męczkowski,
Anzelm Żebrowski, Erenfried i Komar.*

Z LAT 1876 — 78

I

Walka z Sierocińskim

Do Siedlec przybył około 1876 roku nauczyciel języków starożytnych Sierociński, b. unita — urzędownie prawosławny;*) był to człowiek kulturalny, w stosunkach z uczniami uprzejmy, ale nadzwyczajny pedant. — Wymagał on, aby nasze wiadomości ściśle odpowiadały wymaganiom programu ministerjalnego; program zaś wymagał tak gruntownej i szczegółowej znajomości etymologii i składni łaciny i greki, że tylko uczeń bardzo pilny, obdarowany nadzwyczajną pamięcią i uwagą, poświęcając cały czas wolny tym przedmiotom, mógłby tak trudnemu zadaniu podołać. Widocznie była to umyślna tendencja ówczesnych rosyj-

*) Poprzednikiem Sierocińskiego był Horoszewicz, unita. Był to człowiek dorodny, pociągającej powierzchowności, taktowny, b. lubiany przez uczniów, w nauczaniu dbał nie tyle o formuły gramatyczne, ile o ducha autorów tłumaczonych. Nie chciał przyjąć prawosławia, to też musiał opuścić gimnazjum i wziąć skromną posadę w Izbie Skarbowej.

Wkrótce potem umarł na suchoty. Przed śmiercią dysponowany był przez kapłana katolickiego który przemknął się cichaczem na koniec ulicy Florjańskiej do domu Wrońskich, w którym zajmował Horoszewicz mieszkanie.

Gdy na pogrzeb przybyło duchowieństwo prawosławne, uczeń Wroński wyraził się: „niech go tam kropią wodą cerkiewną i paszport mu kładą, jemu to ani pomoże ani zaszkodzi, bo już ksiądz pod sekretem wypowiedział”.

Gruźlica robiła wśród filologów straszne spustoszenia, bo oprócz Horoszewicza umarł na nią też Baczyński, Sierociński również był gruźlikiem.

skich władz szkolnych, aby umysł ucznia zaabsorbować martwymi przedmiotami i nie dać mu czasu na myślenie o rzeczach, wykraczających poza obręb szkoły i na czytanie dzieł ogólno-kształcących. Uczniowie zaś szkół siedleckich, już to skutkiem częstych zmian nauczycieli, lub ich pobłażliwości, wreszcie odrazy do uczenia się tak niezajmujących rzeczy, jak gramatyka łacińska i grecka a zwłaszcza licznych wyjątków gramatycznych, stali dość nisko pod względem przygotowania. Tu zaczął się dramat; Sierociński stawiał niby to jego zdaniem zredukowane wymagania, lecz w istocie dla nas nieosiągalne; uczniowie zaś od wymagalnego stopnia doskonałości byli b. dalecy i gdyby nawet wytężyli swe siły, nie mogliby, będąc w wyższych klasach, uzupełnić swych braków. Sierociński nie robił żadnych ustępstw, przeciwnie ciągle nas pikował i drażnił, zapewniając, że nikt z nas nie jest godzien otrzymać świadectwa dojrzałości. Wskazywał on na popełnione przez nas w extemporaljach błędy etymologiczne i zaznaczał, że takie błędy w wyższych klasach nie powinny się zdarzać i że popełnienie w wypracowaniu egzaminacyjnym podobnych błędów pociąga za sobą stopień niedostateczny. Po nasłuchaniu się tych smutnych przepowiedni i uwag ironicznym doszliśmy do przekonania, że przy Sierocińskim uzyskanie matury jest niemożliwym; należałoby więc dążyć do tego, aby został usunięty. Zdawało nam się, że cel ten osiągniemy, gdy wszyscy jednocześnie złożymy podanie o zwrot papierów, czyli o zwolnienie nas ze szkoły, a wtedy władza, zaskoczona tym krokiem, w obawie skandalu, związanego z zamknięciem klasy dla braku uczniów, dociekać zacznie pobudek tego zbiorowego rozpaczliwego czynu i zmuszoną zostanie odwołać Sierocińskiego. Chodziło więc o postawienie kwestji: albo my, albo on. Powzięcie tej demonstracyjnej uchwały poprzedziły liczne narady, na których upominaliśmy się wzajemnie, aby nikt się nie uchylił od złożenia podania i aby wszyscy postępowali solidarnie. Pamiętam, jak późną jesienią ostatnie decydujące zebranie odbyło się o zmierzchu w lasku, położonym za Starą wsią (przedmieś-

cie Siedlec, dokąd przemknęliśmy się drobnymi grupami i gdzie nieskrępowani mogliśmy się wypowiedzieć otwarcie. Jakoż jednego z najbliższych dni po lekcjach udaliśmy się do kancelarji gimnazjalnej i tam złożyliśmy zawczasu przygotowane podania na ręce sekretarza. Oczywiście nie przestaliśmy uczęszczać na lekcje, oczekując wyników naszego kroku. Krok ten zrobił wielkie wrażenie. Z początku groźno, że wszyscy będą wydaleny z tak zwanymi „wilczymi biletami” to jest bez prawa wstąpienia do innego gimnazjum, wreszcie postąpiono ze zwykłą perfidją: uznano dwóch za „zaczynszczyków” (inicjatorów vel podżegaczy), choć byli tyleż winni co inni i tych dwóch wydalono, reszta, jako ni- by to mniej winna, pozostała. Zresztą ci dwaj wydaleny zostali z biegiem czasu do innej szkoły przyjęci i w swoim czasie uzyskali maturę.*) Sytuacja Sierocińskiego w obliczu tego zatargu była dość niezręczna, gdyż jasnym było, że on swą bezwzględnością doprowadził uczniów do pewnego rodzaju buntu i ostatecznego wystąpienia; po tym incydencie złagodniał nieco, a na egzaminie ostatecznym nie tylko nie dążył do obcięcia, ale przeciwnie, starał się tak kierować, aby odpowiedź dobra wypadła. Jakoż nie był to zły człowiek, jeno jednostronny, dokuczliwy pedant, o zgryźliwym usposobieniu. Dodajmy do tego, że w istocie wychowaniem i kulturą należał on do społeczeństwa polskiego, lecz dla chleba, jako były unita, musiał udawać prawosławnego. Kochał się podobno w jakiejś pannie, która mu odpla-

*) Pomiędzy wydalonymi znajdował się Józef Uzdowski. Pobierał on stypendjum Szaniawskich, bo matka jego była z domu Szaniawska. Ponieważ był to chłopiec zupełnie biedny, przeto usunięcie go z gimnazjum Siedleckiego i pozbawienie stypendjum stawiało w położenie bez wyjścia. Dzięki staraniom uzyskał Uzdowski posłuchanie u Apuchtina. Gdy Apuchtin usłyszał o co idzie, rozgniewał się sro- dze; z wielką pasją krzyknął: „mnie sam impierator pożał ruku i prosił: człoby jemu wospitał' wiernych synow otieczestwa, nie izmiennikow, podlecow! Iditie procz”. Niemniej po dłuższych staraniach rodziny Uzdowski został ponownie przyjęty do gimnazjum po odsiedzeniu tygodnia „kozy”. Pozwoliło to mu z czasem dokończyć nauk i stać się nauczycielem łaciny i greki.

Przypisek Redakcji.

cała wzajemnością, lecz nie żenił się, aby nie być zmuszonym do brania ślubu w cerkwi i chowania dzieci w zasadach prawosławia. Była to zwykła tragedia życiowa b. unitów, przywiązanych do polskości i katolicyzmu, a zmuszonych do udawania prawosławnych.

II.

Śpiewy w klasie.

W siódmej klasie (rok 1877) było paru rusinów (b. unitów); ci, jako zaliczeni urzędownie do prawosławnych, musieli chodzić na śpiewy, czyli na naukę śpiewu chóralnego cerkiewnego. Ci chłopcy rozwinęli sobie głos, a przy sposobności nucili sobie świeckie piosenki. Było tak, że nauczyciele opóźniali się z przybyciem na lekcje, skutkiem czego przerwy pięciominutowe przedłużały się znacznie, a uczniowie siedzieli już na swych miejscach w klasie w oczekiwaniu na nauczyciela. Zdarzało się, że z nudów ktoś półgłosem zanucił jakąś piosenkę, inni go poparli i w ten sposób zdarzyło się parę razy, że większość klasy półgłosem jakąś piosenkę nuciła. Przechodził wówczas po korytarzu inspektor Abramowicz, usłyszał jakiś śpiew wspólny, otworzył nagle drzwi i stanął przed nami. Fakt był oczywisty, klasa chórem śpiewała, a cóż innego mogła zdaniem inspektora śpiewać, jak nie polskie pieśni patriotyczne, najsurowiej zakazane. Afera była poważna; mogła ona dojść do wiadomości wyższych władz, jako demonstracja polityczna i z tego wynikłaby niemiła sytuacja nie tylko dla uczniów, ale i dla władzy szkolnej. Rozpoczęto dochodzenie; wzywani byli ci rusini (formalnie prawosławni) i dopiero, gdy ci zapewnili najuroczyściej, że w klasie śpiewano małopolskie dumki ludowe, wtedy sytuacja przestała być groźną i oblicza pedagogów się wypogodziły. Pytano każdego z uczniów w klasie po kolei, czy uczestniczył w śpiewie i każdy się niewyraźnie tłumaczył i połowicznie przyznawał „czasami troszkę podciągałem”, ale odpowiedzialności żadnej nie było, gdyż wypadek ten nie miał zabarwienia politycznego, czego się władza szkolna tak obawiała.

III.

Moskale się boją.

Gdy byłem w jednej z wyższych klas koło 1877 r. opowiadał mi poufnie z uśmiechem dozorca gmachu gimnazjalnego, że dyrektor Ponomarow, oraz jego żona całą noc nie spali i długo na klęczkach modlili się przed ikonami (obrazy święte), błagając o odwrócenie niebezpieczeństwa. Strach powstał z tego powodu, że jacyś uczniowie późnym wieczorem zabawiali się wybijaniem żydom szyb w oknach; policja zatrzymała tych łobuzów i przyprowadziła do gimnazjum do rozporządzenia dyrektora. Przerażony dyrektor wyobraził sobie, że rozpoczyna się rewolucja, a skutkiem tego polacy będą rżnąć żydów i moskali, przyczem uczniowie dobiorą się do dyrektora.

IV.

Sprawa socjalistyczna i rewizje u uczniów.

W liczbie uczniów ósmej klasy (1878 rok) znajdował się Wojnow, kozak z pochodzenia, o kilka lat od nas starszy, został on na drugi rok w szóstej klasie, a skutkiem tego dawni jego koledzy ukończyli wcześniej gimnazjum i byli w uniwersytecie. Wojnow był chłopcem odczytanym i umysłowo rozwiniętym i utrzymywał stosunki listowne z kolegami, którzy byli w uniwersytecie. Były to czasy, kiedy Rosja była podminowana przez agitację socjalistyczną i terrorystyczną, która wkrótce doprowadziła do zabójstwa Aleksandra II. Do programu tej agitacji, rozpowszechnionej wśród młodzieży inteligentnej, a zwłaszcza studentów wyższych zakładów naukowych, należała propaganda wśród ludu wiejskiego i miejskiego pod hasłem: „ziemia i wola”, czyli obdarzenie ludu ziemią, oraz nadanie społeczeństwu wolności konstytucyjnych. W stolicach rosyjskich, Petersburgu i Moskwie, były wydawane różne dzienniki wywrotowe, broszury i tym podobne druki. Policja, a zwłaszcza

żandarmerja zajęta była tropieniem i ściganiem tych wywrotowców, którzy następnie byli sądzeni w drodze administracyjnej i wysyłani na pobyt do dalekich stron Rosji i Syberji. Koledzy Wojnowa, będąc na studjach w Moskwie, zwłaszcza niejaki Makowelski, ulegli tym prądom i zwrócili się do Wojnowa, ażeby on wdrożył agitację wśród uczniów klas wyższych w Siedlcach. Wojnow podjął się chętnie tego zadania, odbierał z Moskwy zakazane druki i udzielał niektórym zaufanym kolegom do czytania. Dodać muszę, że Wojnow cieszył się powagą i uznaniem między kolegami, jako starszy i więcej rozwinięty od rówieśników, a przytem, jako istotnie dobry i zacny chłopak o nastroju altruistycznym i idealistycznym. Odwiedzaliśmy Wojnowa b. często, prawie codziennie, jego mieszkanie było niejako klubem uczniowskim. Gdy wszyscy uczniowie mieszkali bądź u rodziców, bądź też stali na tak zwanych stancjach, Wojnow miał oddzielny pokój z osobnem wejściem, wprawdzie niski i mały, na poddaszu w domku przy ulicy Florjańskiej, ale całkiem oddzielny. O każdej porze w godzinach poobiednich i przedwieczornych można tam było zastać kilku kolegów, przepędzających czas na pogawędce o sprawach bieżących. Otóż, Wojnow podobno w korespondencji do Makowelskiego w Moskwie nadmienił, że czterech kolegów uważa za dość rozgarniętych i że zaczął wśród nich propagandę, przyczem wymienił nazwiska czterech uczniów ósmej klasy, a w tej liczbie i moje. Tymczasem w Moskwie żandarmerja podczas rewizji znalazła tę korespondencję, a wynikiem tego odkrycia było przeprowadzenie nocną porą rewizji u Wojnowa, aresztowanie go i osadzenie pod śledztwem w więzieniu siedleckim, słynnem z tego, że tam dawniej więzieni byli w swoim czasie unicy, męczennicy za wiarę. Aresztowanie Wojnowa zrobiło na nas wielkie wrażenie — lecz na tem się nie skończyło; wkrótce, w dniu szkolnym, zwolniono uczniów od lekcji, a czterech wybranych zatrzymano w gmachu szkolnym przez parę godzin, tymczasem zaś żandarmi robili rewizję w mieszkaniach tych uczniów, ale na szczęście nic

podejrzanego nie znaleziono, gdyż wprawdzie przejrzelśmy pisma i broszury, udzielone nam przez Wojnowa, ale po przejrzeniu zwróciliśmy zaraz z powrotem. Dyrektor Ponomarow wywnętrzał się wtedy, że nie chodzi tu o głupie patriotyczne tendencje, których z głowy polakom wybić nigdy niepodobna, lecz o coś poważniejszego, a gdyby się coś takiego ujawniło, to może być źle. Po dokonaniu bezowocnej rewizji nastąpić miało przesłuchanie nas protokularnie. W przewidywaniu tego badania umawialiśmy się, żeby wszystkiemu zaprzeczać i do niczego się nie przyznawać, odpowiadając, że nic nie wiemy, nie słyszeliśmy, nie widzieliśmy i t. d., a to chociażby żandarmi używali różnych podstępów, gróźb i presji, naprz. gdyby sprowadzili rodziców i ci pod wpływem perswazji żandarmów namawiali syna do wydania poszlakowanych. Badanie odbyło się w mieszkaniu dyrektora Ponomarowa przez pułkownika żandarmerji i na jego pytanie odpowiadaliśmy jak wyżej, że Wojnow z nami żadnych szczególnych spraw nie poruszał, nie namawiał nas do socjalizmu, żadnych pism i książek do czytania nie dawał i nie pokazywał, wogóle że nam nic w tej sprawie niewiadomo. Na tem narazie skończyła się ta sprawa. Wojnowa więcej nie widzieliśmy; nie skończył on już szkół, lecz wprost z więzienia odesłano go na Don, skąd pochodził, jako prostego kozaka i tam on spędził życie w otoczeniu niekulturalnem, marnując swoje zdolności. Co do mnie, gdy byłem pierwszy rok w Warszawie na studjach, byłem zaszczycony wizytą rewirowego, który widocznie przybył zobaczyć, czy nie zajmuję się czem podejrzaniem. Następnie, mieszkałem czas jakiś, odnajmując pokój, u urzędnika cyrkułu na Nowym Świecie, który powiedział mi pod sekretem, że w księgach przy moim nazwisku jest wzmianka: „silnie podejrzany, ale bez udowodnionej winy, pozostaje pod tajnym dozorem policji na czas nieograniczony”. Przypuszczam, że z biegiem czasu wobec tego, że w uniwersytecie do kółek rewolucyjno-socjalistycznych nie należałem, wzmianka ta została usunięta.

Lublin.



Matużyści r. 1882

Marjan Worojko, Jan Krzczkowski, Stanisław Oleszkiewicz, Stefan Urbanowicz, Słodkiewicz, Marjan Kasperowicz, Otton Polkowski, Rajmund
 Cholkowski, Tomasz Faytt, Henryk Makowski, Tomasz Świętochowski, Szanłowski, Antoni Bielawski, Klemens Sikorski, Kazimierz Podbielski,
 Ignacy Dmowski. Nauczyciele: Ks. Wawrzyńc Brzozowski, Soliski, Dyr. Ponomarew, Insp. Sotniczewski, pop Czarnow, Świrnluk, Wojnow,
 Groszkowski, Sierociński, Lebrun

Rejent Wacław Raczyński

ZMIERZCH WITTEGO — ŚWIT APUCHTINA

Wspomnienia szkolne z lat 1875 — 1884.

Likwidacja Unji

W pierwszych dniach Sierpnia 1875 roku złożyłem egzamin do pierwszej klasy gimnazjum Siedleckiego. W dniu Wniebowzięcia przyjechałem z Ojcem do Siedlec, gdyż nazajutrz rozpoczynał się rok szkolny więc trzeba było załatwić kwestję stancji. Tegoż dnia znalazłem się pod opieką p. Żypowskiej, proboszczowej unickiej, która — po zniesieniu parafji unickich — zjechała do Siedlec dla kształcenia dzieci, mąż zaś przeniósł się do Warszawy na posadę. W ten sposób zetknąłem się z życiem Unitów.

Dom państwa Żypowskich zrobił na mnie od pierwszej chwili bardzo sympatyczne wrażenie. Macierzyńska prawie względem mnie troskliwość pani domu, serdeczna atmosfera w stosunku do mnie całej rodziny, a zwłaszcza od pierwszej chwili prawdziwie koleżeński stosunek do mnie trzecioklasisty Julka Żypowskiego, wszystko to sprawiło, że już wieczorem tegoż dnia czułem się, niby gdzieś w wiejskim dworku. Gdym przeto schodził szarą godziną w towarzystwie koleżanki Józki Żypowskiej i jej kuzynki na dół do ogródka, — zamiast iść za towarzyszkami po schodach — oł, ni z tego ni z owego — zjechałem po poręczy schodów, aż nadół — ku wielkiej uciesze towarzyszek.

Od dnia następnego zaczęło się życie szkolne. A na wstępie tego życia zetknąłem się — z tak daleką dotąd ode mnie polityką.

Któregoś popołudnia Julek Żypowski proponuje mi pójście na pogrzeb profesora Horoszewicza.

Wyjaśnia, że to unita, że był wybitnym wykładowcą łaciny i greki; do tego człowiekiem. Idziemy. Tak bliźutko — prawie po drugiej stronie ulicy Florjańskiej — w oficynie domu Doktora Łady.

Na dziedzińcu i przy trumnie snuje się sporo uczniaków.

Nieboszczyk spoczywa w garniturze frakowym. Twarz młoda, ozdobiona piękną czarną brodą, zakrywającą aż górną część gorsu. Opodal od trumny gromadka uczniów szepcąc rozmawia o zbliżającej się chwili pogrzebu. Podobno nieboszczyk ma być stąd wyniesiony wprost na cmentarz. Oczywiście na cmentarz katolicki, gdyż nie przyjął prawosławia. Naraz szepty cichną: z nadworza dochodzi jakiś ponury śpiew. Wybiegamy z Jankiem na dziedziniec. Przez bramę w sztachetach od ul. Florjańskiej idzie mała grupa z popem prawosławnym na czele przybranym w szaty duchowne.

Konsternacja opanowuje młodzież szkolną. Takiego orszaku nikt z nas nie spodziewał się. Zanim wolnym krokiem przez obszerny dziedziniec przeszła popia asysta, młodzież szkolna, jakby na jakąś komendę tajemną, zaczęła znikać. Mój Julek, zmieniony na twarzy, szarpie mię za rękaw i szepce: — Uciekajmy.

Nim wielki popisko (Czamów) wpakował się we drzwi oficyny, już byliśmy z Julkiem na ulicy. Okazało się, że nieproszony popisko odprowadził ciało unity Horoszewicza na cmentarz prawosławny i tam je po prawosławnemu pochował.

Od tego momentu upłynęło z pół roku. Przez ten okres czasu życie szkolne popłynęło swoim korytem. Dokąd sprzyjała pogoda koledzy moi używali powietrza na dziedzińcu gimnazjalnym podczas każdej pauzy, aż trzeszczały drabiny, pomost i inne przybory gimnastyczne. Po lekcjach na podwórkach stacyjnych również hałaśliwie grywano w piłkę: w ścianki, trójmetki i ekstrę. Dopiero wrześnie słoty

zaczęły zapędzać nas pod dach stacyjny, a w godzinach rannych na korytarz szkolny.

Tam tedy każdy z nas musiał się z konieczności rozglądać nie tylko po zbitych do kupy uczniowskich głowinach, sterczących z ugałowanych mundurków uczniowskich, lecz czasami sięgnąć wzrokiem i na wyżyny. A na tych wyżynach — na ścianie korytarzowej — tuż przy schodach — widział kawał tektury z napisem w języku rosyjskim: „tutaj wolno rozmawiać uczniom tylko po rosyjsku”.

Czy pamiętacie, kochani czytelnicy, to wrażenie, jakie bezwiednie otrzymywaliśmy po każdorazowym odczytaniu tego tekturowego napisu? — Och! nie mogę wprost powstrzymać się od ucieleśnienia tego wrażenia.

Razu pewnego — podczas pauzy, gdy koło schodów i na korytarzu zebrało się sporo uczniów (przeważnie pierwszoklasistów) zjawia się tuż pod tą samą tekturą kolega Bolcio Lück z pierwszej klasy etatowej, dobrze znany i nam z równoległej, gdyż przerastał cały ogół pierwszoklasistów swoim wzrostem. Otóż ten Bolcio, objawszy rękoma głowiny najbliższych swoich sąsiadów i protekcjonalnie pochyliwszy się ku tym głowinom po mentorsku mówi: — naturalnie po polsku. — No, czytajcież! — co tu stoi napisane? Zwolna, akcentując każdy wyraz, sam odczytuje napis: —

A widzicie, durnie jakieś, — konkluduje tymże mentorskim tonem kolega Bolcio — wyście do tej pory nic nie rozumie! A tu stoi wyraźnie, jak wół: nie wolno mówić inaczej, jak tylko po rosyjsku! — No i cóż? Zrozumiane?

Na to nadbiegł Iwan Iwanowicz Swirniuk i zwykłym swym głosem niby wystraszonym woła: „razojdities!” (rozjejdźcie się). Lecz wołanie to ginie wśród homerycznego śmiechu zebranej młodzieży. Potężny śmiech ten rozszedł się aż na dół echem, skąd ciągnął tłum snujących się koło schodów sztubaków. Na korytarzu robi się z sekundy na sekundę coraz większy ścisk, rośnie śmiech i gwar. Osłupiały Swirniuk wciąż woła „razojdities”, aż wreszcie ogłupiały, grozi skargą do inspektora Abramowicza. Wtedy nasz śmiech i gwar dochodzi do punktu kulminacyjnego. Słychać

parodjujące wrzaski uczniów „razojditieś”... razojditieś” poczem śmiejący się tłum pędzi w oba końce korytarza do drzwi 1-ej klasy, etatowej i równoległej.

Bolciowi Lückowi ani włos nie spadł z głowy z powodu tego ewenementu; myśmy zaś od tej pory codziennie głośno gwarzyli po polsku oczywiście nie tylko w klasach, ale i na korytarzu — w obecności Świrniuka i innych agentów szkolnych. Od tej też pory nie czulem potrzeby wzno-
sić wzroku nigdy już na wyżyny tego napisu, i moi współ-
koledzy — zdaje się — również nie tęsknili do tej lektury. Albowiem wszelkie, jakie mogły być dotąd pod tym wzglę-
dem wątpliwości, pierzchły wraz z echem onego śmiechu i zatoneły w bujnych falach naszego życia — bezpowrotnie.

W pierwszych dniach października mieliśmy z Julkiem niebywałą przyjemność: była to przeprowadzka na nowe mieszkanie.

Na nowem mieszkaniu — w dużym drewniaku na rogu placu i przejazdu do ulicy Długiej — czulem się niby w jakiejś obszernej oficynie folwarcznej: szeroki widok z okna, dużo powietrza i prawie, że wiejski spokój. Nawet i to podobało mi się, że z powodu odległości od gimnazjum przestaliśmy z Julkiem przychodzić podczas dużej pauzy na drugie śniadanie. Więc odtąd żyło się nieco samodzielnie. W przedśionku szkolnym koło południa codziennie zjawiała się Ita z koszami: w jednym miała kręcone żydowskie obwarzanki, w drugim ciastka z cukierni Frycza, a podczas sezonu — w trzecim — owoce. Dążyło się przeto do tej Ity. Oczywiście kto miał więcej drobnicy, ciągnął ku ciastkom, większość demokratycznie sięgała po obwarzanki.

Po lekcjach, o ile pogoda pozwalała — zbieraliśmy się w niezbyt licznej gromadce na placu przy gimnastyce wojskowej; lecz nie długo to trwało. Nastąpiły szarugi jesienne, potem nadeszła zima. Na placu zapanowała martwota.

Aż wreszcie pod koniec zimy rozegrał się dalszy ciąg dramatu, którego początek obserwowałem przy zwłokach profesora Horoszewicza: — było to w czasie, gdy po długiej

chorobie zmarła średnia córka pp-wa Żypowskich. Przybyły na pogrzeb Ojciec osobiście zajął się stroną formalną tej uroczystości. Kiedy wrócił do domu dowiedzieliśmy się, że bez udziału miejscowego popa można będzie pogrzebać ciało, — ale na cmentarzu prawosławnym. Otucha wstąpiła w całą rodzinę. Lecz trwało to krótko. Nadeszła niebawem chwila, gdy z okna ujrzeliśmy znów popa w cerkiewnej asyście i usłyszeliśmy pamiętną nutę ponurego śpiewu.

Nie chcę już mówić o tem piorunującym wrażeniu, jakie wywarł ten podstępny—iście bizantyjski—czyn na nas wszystkich a zwłaszcza na nieszczęsną matkę, która jednak na cmentarz nie poszła. Aby uniknąć widoku i wybuchów płaczu, przyłączyłem się do orszaku pogrzebowego. Za trumną szliśmy we trzech: Ojciec, brat i ja; przed trumną orszak cerkiewny mruczał ponuro, aż do cmentarza...

W jakiś czas po tym pogrzebie mój Julek zaczął przebąkiwać, że nadchodzi chwila zakończenia sprawy unickiej w gimnazjum. Jak wiadomo gimnazjum Siedleckie od roku 1867 było przerobione na gimnazjum rusińskie. Jedyłą cechą rusińską było urządzenie w gmachu szkolnym kaplicy unickiej, która została skasowana z końcem roku 1874-go. Kaplicy tej już nie oglądałem; gdy wstąpiłem do gimnazjum, była tam już sala szkolna, w której odbywały się w miarę potrzeby zebrania młodzieży na gimnastykę, na rekolekcje i t. p. Wyznanie unickie urzędownie już nie istniało, była tylko garść młodzieży, którą można było uważać jeszcze jako resztkę unitów. Otóż dla zakończenia tej niewyraźnej kwestji, pewnego wiosennego wieczoru u pp. Żypowskich zebrali się prawie wszyscy unicy-uczniowie i garść osób starszych — rodziców lub opiekunów. Większości członków zebrania nie znałem; znajomych miałem niewielu, w tej liczbie zapamiętałem sobie Antulskiego (3 kl.) dwóch Balkowców (5 i 8 kl.), dwóch Michalskich (6 i 7 kl.), dwóch Omełanowiczów (4 i 6 kl.) i trzecioklasistkę ich siostrę Jadwigę.

Zebranie odbywało się zupełnie poufnie; drzwi od mego pokoju były zamknięte; zaciągnęło się do późnej nocy.

Potem dopiero dowiedziałem się od Julka, że — prócz paru najmłodszych — reszta zebrania oświadczyła się za przyjęciem prawosławia. Miała ich do tego zmusić jakoby konieczność; opornym bowiem pozostawiono możliwość ukończenia nauki tylko w jednym z gimnazjów w Warszawie. A że zwolennicy prawosławia nie mogli jakoby przenieść się do Warszawy, przeto pewni byli, że krok ich będzie zupełnie wyłomaczony.

Do liczby zwolenników prawosławia zaliczył Julek wszystkich starszych uczniów z moich znajomych.

Od tej chwili było już wiadome, że tylko do wakacji będzie pani Żypowska w Siedlcach. Z końcem roku szkolnego przeniosła się do Warszawy, gdzie Julek ukończył gimnazjum i wydział lekarski na Uniwersytecie.

Gdy jednak dziś wspominam sobie tę chwilę, to nie mogę zamilczeć, jak dziwny los spotkał owych najgorliwszych stronników prawosławia z tego zebrania. Starszego Michalskiego spora część Siedlczan pamięta, jako tutejszego Dyrektora gimnazjalnego; ożenił się z Jadzią Omelanowiczówną, którą po wielu latach małżeństwa spotkałem, będąc w Janowie Podlaskim, w domu pewnego nowochrześcija-rosjanina (naturalnie z byłych Unitów) kawalera, jako damę do towarzystwa. Podobno wówczas już się jakoby miała rozejść ze swoim małżonkiem. Starszy Omelanowicz z czasem zasłynął jako gorliwy pop-rusyfikator; lecz niedługo działał — jak mówili, zeszedł z tego świata niespodzianie; — młodszy zapił się, jako pseudo-dzierżawca folwarku po proboszczowskiego w Hadynowie. Lecz najjaśniejszą odznakę uzyskał starszy Bałkowiec: w rok po owem zebraniu, jako student, wrócił z Petersburga obłąkanym.

Szczególne koleje losu nieprawdaż?

II.

Ex occidente lux.

Jako drugoklasista dostałem się pod opiekę państwa Majewskich, rodziców zeszłorocznego mego kolegi Tomcia.

Pan Majewski, znany jeometra, był wówczas właścicielem ładnego dworku na ul. Prospektowej, dużego ogrodu i drugiego jeszcze obszerniejszego placu, ciągnącego się od ogrodu do ul. Okopowej. Miałem więc znów, szczęśliwem zrządzeniem losu, dużo powietrza, trochę grzebania w ogrodzie i zetknięcia się z nieznanem mi dotąd pszczelnictwem.

Pomyślniej również zapowiadał się postęp w nauce. Dostałem się bowiem pod opiekę korepetytora, Józefa Uzdowskiego, bez porównania staranniejszego, niż poprzedni—Bałkowiec. Pozatem i w klasie również zapanowała lepsza atmosfera, niż przed rokiem.

Świeżo przybyli drugoklasiści, zastaliśmy nieco drugoroczników, kolegów znacznie starszych wiekiem i przeto bardziej zrównoważonych; pozatem skądinąd przybyło kilku kolegów, również starszych wiekiem. W takim otoczeniu i my, rok temu hałaśliwe pustaki, mimowoli staliśmy się umiarkowanymi towarzyszami na ławie szkolnej. Jeżeli więc rok temu podczas pauzy bębni w uszach mogły popękać od potężnej wrzawy, to teraz my, nowi koledzy, stosując się do tej atmosfery, którą już zastaliśmy, musieliśmy się odrazu uspokoić, aby, że tak powiem, — nie pohańbić godności już nieco wyższej klasy. Jeżeli więc czasami, któryś z nas przez zapomnienie wykrzyknął słynne „der, die das — Swirniuk świnie pasł”, to hasła tego już tłum nie pochwycił, jak przed rokiem. Okrzyk taki robił wrażenie raczej krytycznej oceny niedawnej przeszłości i pozostawał bez echa. Z chwilą przeto zanikania wśród nas objawów dawnej łobuzerki, zaczęliśmy nie tylko zachowywać się w klasie i poza nią z pewnością, że tak powiem — godnością, lecz z biegiem czasu okazaliśmy czyny takie, które mogłyby świadczyć o pewnym rozwoju młodocianej duszy. Mam na myśli skłonność do czytelnictwa, która zaczęła w owej chwili ujawniać się wśród naszych drugoklasistów.

Już nie pamiętam dokładnie okoliczności, w jakich spostrzegłem w rękach któregoś z kolegów książkę „Duch puszcy”. Podczas jakiejś lekcji zacząłem ją oglądać. Przed kartą tytułową widzę piękny kolorowany obrazek, w tekście

takich obrazków więcej. Przedstawiają one jakiś nieznanym świat preri amerykańskiej, indjan w stroju wojennym, bladoliciego jeńca, palonego pod słupem. Podczas pauzy książka z owymi obrazkami jest już w moim tornistrze. Kolega pożyczył mi ją do przeczytania.

Nie długo to trwało: przez parę dni poprostu pochłonałem nieznanego mi dotychczas „Ducha puszczy”. Po jakimś czasie idzie ciąg dalszy tej lektury; nie tylko bezplanowo, ale nawet bezładnie. Po pełnej uroku egzotycznej opowieści biorę do rąk suchą robotę Dmochowskiego „Historja Polski w krótkim zarysie”. Parę miesięcy nad nią pracuję, lecz tęsknię do egzotyizmu. Zdarzyło się, że w jakimś sklepie utensyljów szkolnych, spotkałem książkę „Robinson Kruzo”. Handlarz zaczął zachwalać: nabyłem go. I oto zaczął się nieoceniony okres Robinzonady.

Po przeczytaniu puściłem książkę w obieg. Wracała do mnie z rąk czytelnicy coraz bardziej miażdżona. W trakcie tego pożyczam inne wydanie tego cudownego dzieła, gdzie życie Robinsona z Piętaszkiem — jest obszerniej przedstawione. To znów dostaję egzemplarz, traktujący o podróży powrotnej Robinsona via Azja Wschodnia... Po jakimś czasie przechodzę na Robinsona Szwajcarskiego i t. d. aż do najfantastyczniejszej już podróży niezapomnianego Guliwera.

Naraz z tych krain czarownych schodzimy na grunt realny. Od paru dni usługa szkolna myje podłogi w klasach; na korytarzu w piecach palą porządnie. Zdziwienie nas ogarnia: co takiego? — Okazuje się, że lada dzień przyjedzie z wizytacją Kurator Witte z Warszawy.

Aż wreszcie pewnego dnia — uroczysta od rana cisza w całym gmachu; podczas lekcji odgłosy kroków z korytarza, szcęk otwieranych drzwi w sąsiednich klasach — wszystko to zwiastowało, że wizytacja już się zaczęła.

Wśród kolegów z sąsiednich ławek zauważyłem nieco podniecenia. Któryś z wykładowców schodzi z katedry ku ławkom. Ubrany jest w nowy frak mundurowy, w takąż kamizelkę ze srebrnymi guzikami i w czarne spodnie. Zamiast

wykładu wygłasza przemówienie, abyśmy nie przejmowali się zanadto uroczystością i przytomnie odpowiadali, o ile będziemy zapytywani wobec Kuratora.

Napięcie wzmagą się...

Nareszcie! — kroki podedrzwiami klasy — szcęk otwieranych drzwi. Powstanie z miejsc. Wychodzi kurator, a za nim orszak: Dyrektor i Inspektor przybrani w galowe mundury, oraz parę jeszcze osób w wicemundurach.

Pilnie spoglądamy na gościa. Mały człowieczek; pochyłona nieco główka, okolona szpakowatym, ryżawym zarostem; brodzina obrzednia, oczy kaprawe. Na piersiach przewija się wstęga orderowa, na mundurowym fraku złoci się gwiazda.

Zwykle powitanie cienkawym głosem i zajęcie miejsca na skraju pierwszej ławki. Profesor melduje zakres wykładu, Kurator zaś oświadcza, że pragnąłby, aby jego wizyta w niczem nie zamąciła porządku tego wykładu. Profesor zadaje kilka pytań zgóry upatrzonemu uczniowi i — konwencjonalna wizyta skończona.

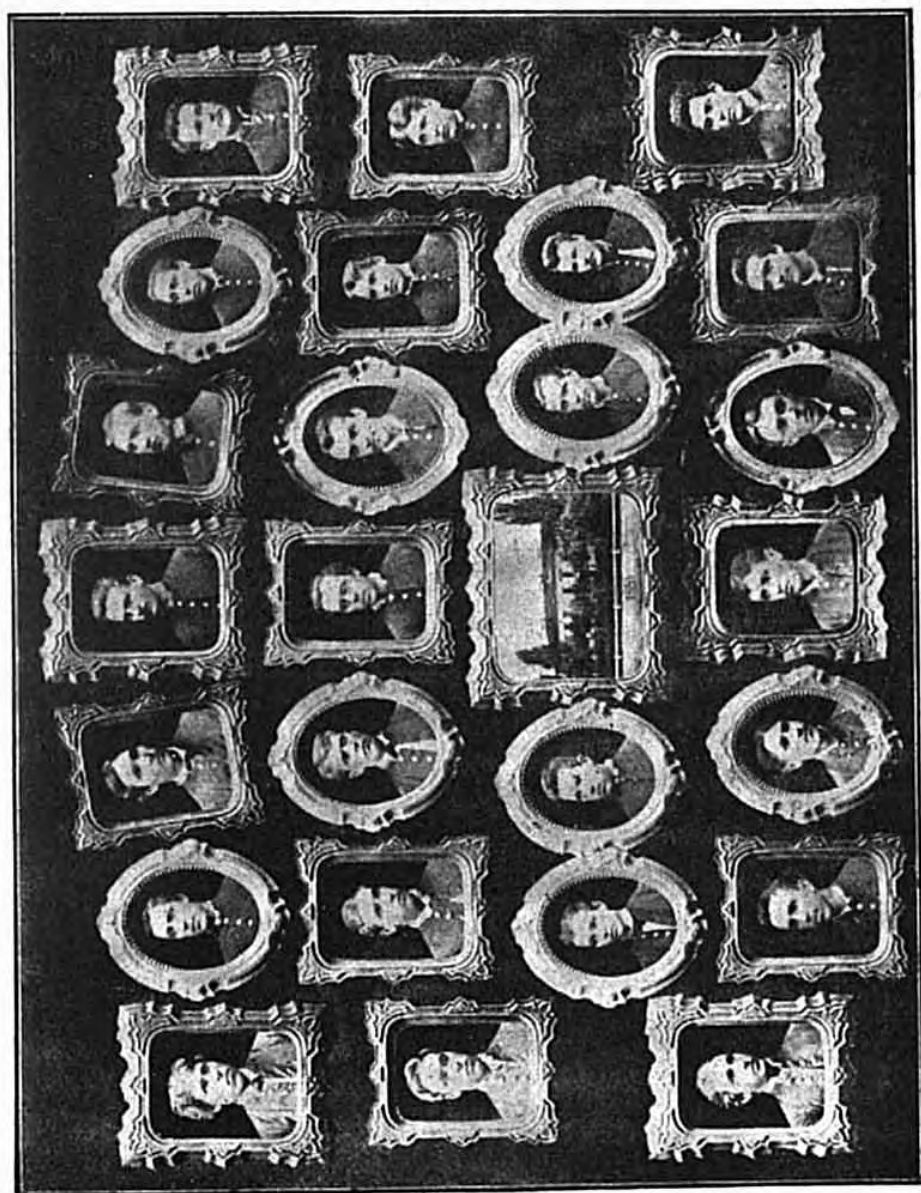
Ani tego dnia, ani później nie było między nami nowy o tej wizytacji.

Pokraczna postać Wittego, prócz półuśmiechu na twarzach, nie zostawiła w duszy naszej żadnego wrażenia.

Pod koniec roku szkolnego gospodarz naszej klasy wezwał „lepszych“ uczniów do sali, aby mogli wziąć udział w rozdawnictwie książek z tak zwanej biblioteki uczniowskiej — do czytania.

Podczas dużej pauzy stawiliśmy się w tej sali.

Na dużym stole ujrzelśmy całe szeregi oprawnych w czarne płótno książek, ustawionych do góry grzbietami, zdobnymi w zadrukowane złociste naskórki. Na tych grzbietach widniały: nazwa autora, tytuł dzieła i czasami liczba tomu. Każdy szereg tych książek obejmował grupę dzieł jakiegoś autora. Koło tego stołu prócz nas zaczęli się również gromadzić uczniowie z III i IV klasy. Pod okiem gospodarza klasowych każdy z nas wybierał sobie jedną



8-ua klasa z r. 1887

Józef Korsak, Stefan Buchowiecki, Ewaryst Muczkowski, Konrad Borkowski, Stanisław Morzkowski, Kazimierz Bujalski, Stanisław Nasitowski, Adam Wojnicz, Władysław Papiński, Witold Horodynski, Antoni-Swiętosław Pigłowski, Bronisław Wronski, S. Orłowski, Zdzisław Dmochowski, Erazm Dymaradzki, Leon Hejdukowski, Hipolit Hornowski, Wacław Raczyński, Antoni Jaszczolt, Antoni Rozwadowski, Herman Szulc, Edward Rofa, Gustaw Markowski, Albin Suchodoiski, Ch. Rozenblum.

książkę. A było co wybierać! Leżały bowiem całe stosy powieści egzotycznych Mayne-Read'a, Fenimore'a, Cooper'a. Kapitana Maryatt'a, Aimard'a i innych mniej znanych autorów.

Na początek dostaliśmy po jednej książce na tydzień. Lektura bardzo przypadła nam do gustu, wprędce więc wyjednaliśmy częstszą wymianę książek. I oto przez całe dwa lata rozkosznie w ten sposób brnęliśmy po tak dla nas czarownych łądach Nowego Świata, po wodach Adrjatyku i oceanu Indyjskiego, żyjąc za-pan-brat z wolnemi plemionami czerwonoskórych tubylców Ameryki; to znów podziwiając niezwykłą wytrzymałość murzyna-niewolnika na łądzie amerykańskim, lub też jako usługę na statkach morskich.

Gdy dziś spoglądam w głąb duszy ówczesnego ucznia, doszukując śladów tej czarownej strawy, łapczywie przez nas pożywanej nie tylko w wolnych chwilach za dnia, lecz i w ciszy wieczoru — aż do późnej nocy, widzę już tam tylko amalgamat wrażeń. Ów czar, ujarzmiający ongiś duszę młodzieńczą, stłumiły idące zawziętym krokiem Lata; wiejący od nich coraz silniejszy chłód kryształili te jasne obrazy egzotycznego życia, wytwarzając pogmatwane warstwy, wznoszące się jedna na drugiej ponad ziemię wysoko — hen, coraz wyżej... A na cyplu wierzchołka widzę wyraźnie w złocistych blaskach aureoli jedną już tylko postać: jest nią „Ostatni z Mohikanów” Cooper'a,—ten precudnie odtworzony symbol podboju, dokonanego porywającą siłą nieśmiertelnej kultury Zachodu.

Siedlce, 1926.

Dr. Adam Woynicz

SIEDLCZANOM Z 1874 — 1884 R.

Siedlce — miłe sercu wspomnienie! Tam szmat życia wiośnianego spędziliśmy znośnie. A jeśli to życie było czyste i owocne, to teraz, jak w krynicy ożywczej, przegładasz się w niem, Siedlczanie drogi, dziś — polaku wolny!

I widzisz tam pierwsze lata szkolne, gdy, jako dziecko, na stacji pod okiem poczciwej gospodyni *) czuleś blisko serce matki swojej: bo ona pilnowała, czyś pacierz pobożnie odmówił, czy w nocy śpisz zdrowo i we dnie czy syty bawisz się przystojnie — o lekcjach pamiętał korepetytor sumienny.

Ksiądz prefekt**), gość miły, choć rzadki, gdy zaszedł na stację ukradkiem, przedewszystkiem zapraszał do Mszy Św. służyć, potem w swoim czasie o Roratach przypomniał i na wiosnę przemile Nabożeństwo Majowe ogłaszał, na które procesjami dążyli młodzi i starzy. Tak z Bogiem bezwiednie stawiać zaczynałeś pierwsze kroki na drodze zawodu naukowego. A biedny, czy bogaty, kto od ławy szkolnej z Bogiem zawarł przymierze, już go nie zerwał przez całe życie. Jeżeli byli odstępcy, to istoty marne, albo chore, dla których życie pracowite nie miało uroku, woleli karierę lekką, choćby i nikiemną.

Takie stacje uczniowskie bywały na Podlasiu w owe czasy niewoli. Często gospodyni, ziemianka zrujnowana,

*) Stacja pani Dobraczyńskiej, gdzie pierwsze lata mieszkałem.

**) Ksiądz prefekt Szyszkowski.

gdy na chleb zarobkować musiała, wzamian oddawała prócz mozolnej pracy i swe serce szlachetne. Wprędce czujna szkoła zaborcza wytępiła i takie gospodynie — polki i takich prefektów-patrjotów, którzy lekcje religji przeplatać potrafili wyjątkami z historii i literatury polskiej. Natomiast od szkoły wiało chłodem, grozą i fałszem. Młode dusze polskie dobrze to odczuwały, a pamiętne znęcanie się kozactwa, nawracającego na prawosławie opornych unitów, grozę tę jeszcze bardziej potęgowało. W szkole język polski był zakazany, głośiły o tem napisy, poumieszczane w korytarzach gimnazjalnych, panował system suchej i kłamliwej nauki rosyjskiej, od ucznia wymagano bierności, pokory i bezkrytycznego kucia zadanych lekcji (wspomnij historję Iłowajskiego), usiłując jednocześnie szczepić uwielbienie dla języka rosyjskiego, dla rosyjskiej literatury i historii. Wdrażono również polakom, że najdoskonalszym i najlepszym w świecie był ruski car prawosławny, którego dobroć sięgała tak daleko, że nawet polskim „miałieżnikiem” w szkole rządowej uczyć się pozwalał.

Wychowanie fizyczne było w zaniedbaniu zupełnem. Szkoła nie organizowała żadnych sportów, gier, ani zabaw, chyba w celu rusyfikacyjnym jakiś wieczorek wokalnoinstrumentalno-deklamacyjny, w którym polacy brali udział pod przymusem, albo czasem nauczyciel kaligrafji, Iwanow, przerabiał z uczniami fragment gimnastyki szwedzkiej (wyrzucanie rękami i wypadki nożne) w sali gimnazjalnej „zborną” zwanej, dla pokazania wizytującemu kuratorowi, że szkoła pamięta o wychowaniu fizycznym (sic!). Rysunków, ani śpiewu również nie uczono, natomiast przy każdej uroczystości dworskiej, lub innej pędzono nas parami do cerkwi, by zaznajamiać i oswajać z kulturą bizantyjską.

Inicjatywie kolegów zawdzięczaliśmy, że braki wychowania fizycznego umiejętnie wyrównywane były — latem — przez grę w piłkę na podwórkach siedleckich i masowe wycieczki do kąpieli w Smolaku, Sokulu i Wesółce, zimą zaś przez ślizgawkę w ogrodzie „Aleksandrowskim” i na błoniach podmiejskich, skąd często sznurami wyrusza-

liśmy do Chodowa na Liwcu. Ileż to „dusz” się wykurzyło w niewinne „ścianki” i rozkoszną „ekstre”! Gdyby władza szkolna wiedziała, jak zwinnymi i zręcznymi byli piłkarze, niczawodnie skasowałyby „ekstre”, a może i „ścianki”, jak to uczyniła z palantem i grą w wojsko, jako zabawami „nieprawomyślnymi”. Odwagi i śmiałości nabywaliśmy przez wyprawy nocne na cmentarz w Zaduszki, jak to później opisał kolega Stanisław Pytliński w obrazku p. t. „Krawat”. Trudniejsza była sprawa z zabawami towarzyskimi, przeplatanymi zwykle często żywym obrazem z legionistą albo powstańcem, czy śpiewami patryotycznymi, czy satyryczną deklamacją. Te rzeczy szpiegowane były i tępione zażadłe, wkrótce też zaniechano ich na stacjach uczniowskich. Jednak w soboty długo jeszcze urządaliśmy śpiewy chóralne, najczęściej Toasty Odyńca „Pijmy zdrowie Mickiewicza” i t. d., albo dumki Zaleskiego, na pokrycie których gdy się rozległ sygnał „pedel idzie!”, mieliśmy w pogotowiu „hop moi hryczanyki!” albo „po sinim wołnam okieana”, Na zapusty młodzi przedstawiali „Króla Heroda”, starsi zaś w strojach krakowskich wymykali się na tańce i zabawy do domów prywatnych, za co niejeden, złapany, długo w kozie pokutował, a niekiedy i z gimnazjum wyleciał. Oto zbrodnie, z którymi w latach 1874—78 walczyła szkoła zaburcy. Wprędce, gdy szeregi kolegów unitów topniały, a zastępy „perekińczyków” rosły, trzeba było coraz bardziej mieć się na baczości, więc i zabawy nasze zmienić musiały dawny charakter.

Od klasy czwartej biedniejsi uczniowie, a takich w Siedlcach było najwięcej, myśleć musieli o korepetycjach, niektórzy *) z nich, czujący powołanie do stanu duchownego, udawali się pod skrzydła opiekuńcze znanego dobroczyńcy-protektora, jakim na Podlasiu był ziemianin, Ludwik Górski, ze Sterdyni i w ten sposób zabezpieczali sobie przyszłość. Inni, do których i ja z bratem Rajmundem na-

*) Ludwik i Zenon Kwiekowicz.

leżałem, zajmowali stancje t. zw. „na garnuszk” *) i, żyjąc ubogo, chudemi korepetycjami opędzali potrzeby szkolne. Była to chwila przełomowa w życiu uczniowskim — na twarzy osiadała troska i czoła poważniały, pozaszkolne pogłębienie wiedzy stawało się nietylko potrzebą lecz koniecznością, gdyż szkoła zaborcza zabraniała czytania książek polskich i ustawicznie paczyła prawdę w sprawach, dotyczących się Polski i polaków. Żeby owocniej wyzyskać czas poza korepetycjami, łączyliśmy się w kółka, gdzie po odrobieniu lekcji szkolnych zaglądano do literatury i historii ojczystej. Przy tej sposobności dowiadaliśmy się, że są między nami tacy, jak Markowski, przezwiskiem „Pan”, który połowę „Pana Tadeusza” umiał na pamięć, albo, jak Władysław Papiński, przezwiskiem „Papież”, który „Ojca Zadżumionych” po dwukrotnem przeczytaniu deklamował bez omyłki. To zachęcało i innych kolegów nietylko do czytania i uczenia się na pamięć utworów wieszczów naszych, lecz również do pracy nad językiem polskim, z którym biedniejsi nawet w domu nie mieli sposobności zapoznać się gramatycznie. Zasłudze światlejszych kolegów przypisać należało, że od klasy szóstej przestrzegali poprawnej mowy polskiej i wstydzili zaniedbujących gramatykę, literaturę i historję ojczystą. Żywo stoją mi w pamięci starsi koledzy — Męczkowski i Modrzewski, jak na pauzie tłumaczyli młodszym, że po polsku mówi się nie Jewropa, a Europa (chodziło o mapę Europy, po którą przyszli trzecioklasiści do klasy VII-ej). Jednocześnie między kolegami zaczęły obiegać polskie pisma perjodyczne i książki, kolega „papież” pocichutku wykladał historję literatury polskiej mnie i innym. W tych czasach prasa nawoływała do pracy u podstaw, a literatura i sztuka często wytykała wyzyskiwaczy ciemnego ludu, na scenie przyglądaliśmy się „Czartowskiej Ławie” Galasiewicza, a po domach czytawali „Szkice węglem” Sienkiewicza. Pod temi wpływami powsta-

*) Stancja pani Radeckiej: płaciło się 3 rb. za kął i 1½ rb. na mięso miesięcznie, a resztę produktami w naturze i to się nazywało, że uczeń był na swoim garnuszk.



Maturzyści r. 1885

Antoni Białobrzęski, Jan Szaniawski, Leon Hajdukowski, Kaz. Cegliński, Marja Oleszkiewicz, Albin Suchotolaki, Stefan Zakrzewski, Rozenblum, Karol Wierzejski, Bohdan Korybut-Daszkiewicz, Bolesław Lück, Djonizy Korsak, Józef Korsak, Feliks Rabek, Aleksander Gutman, Leon Kraczkiewicz, Bolesław Przyłuski i Motyczynkij. Dyrektor Ponomarow, insp. Sotniczewskij. Nauczyciele: Kulakow, Wojnow, Lebrun, Książdz Szyskowski, Sołski Sierozczkowski, pop Czarnow, Redko i Swirnluk.

ła wówczas wśród młodzieży klas wyższych znamienna decyzja, charakteryzująca skore do poświęcenia serca młodzieńcze: kilku kolegów postanowiło przerwać nauki, by pójść między lud, jako ideowi pisarze gminni. Po paru miesiącach jeden*) z nich, rozczarowany, powrócił na ławę szkolną i chlubnie ukończył nauki, inni służyli dłużej, lecz losy ich nie są mi znane. W r. 1884 ukończyliśmy gimnazjum. Na uczcie pożegnalnej, w kółku maturzystów odbytej, z pośród wygłoszonych toastów trzy serdeczne pozostały mi w pamięci:

Niech żyje ksiądz prefekt jedyny nauczyciel przyjacieli!

Cześć zacnej gospodyni, prawdziwej opiekunce młodzieży!

Niech żyje dobry kolega, duch jasny i czysty!

Łuck, 29. XII. 1925 r.

*) Ewaryst Muczkowski.

Henryk Ciecierski

DO KOLEGÓW
(1883 — 1886)

Siedleckie czasy mej młodości,
Gdy rwał się każdy z nas do życia
Ileż dawały nam radości,
Bacznie śledzonym wciąż z ukrycia!

Bo cny Apuchtin był nam — władcą
A choć dyrektor — nie zły był,
Inspektor Pietia*) — wychowawcą,
Co patrzył naprzód, w bok i w tył.

Pod — szpicie „Śliwka“, **) Swirniuk głupi
I Sierojczkowski też — „rusin“
(O tego rublem łatwo kupi,
Choć generalski nosił czyn).

Sołncewa — małpy któż nie pomni
Degenerata Palicyna?
O tym ostatnim milczą skromni,
Rozmowy o nim nikt nie wszczyna.

To świat — upiorów, gnębicieli.....
Lecz były i jaśniejsze barwy
I dobrzy — ludzie i — anieli,
Nie tylko złe i wstrętne larwy.

*) Sotniczewski

**) Romański.

Któż nie pamięta — Tchorznickiego,
Staruszka, który młodzież kochał,
Wojaka z roku trzydziestego,
Co o Olszynie prawiąc — szlochał?

A stary włos, co siedział w kiosku, *)
Racząc piernikiem i sodową,
Rzadko mówiący już po włosku,
Czyż nie był miłą, piękną głową?

A te cudowne, śliczne kózki,
Które strzelały ku nam okiem,
Te pensjonarskie skromne bluzki,
Czyż nie wabiły swym urokiem?

Piękna Rosińska, Remiszewska
Nie jednym się do serca wkradły
I chłopca pasja brała szewska,
Po parku włóczył się wybladły.

A te wycieczki do Rozkoszy?
Kąpiele w stawie młyńskim chmarą?
Przy piwku tam za parę groszy
Przy katarynce w karczmie z wiarą?

Szczwany zubożak **) radził sobie,
By nie złapały go wigile.
W cywilnej szacie, w sztucznej brodzie,
W konserwach — broił krotchwile.

A te przyjaźnie, co nas łączą
Po latach tylu i burz gromach
Choć losy nasze tak się płaczą
I wkrótce spoczniem w mrocznych domach?

*) Tessaro poprzednik Ity.

**) Nilny — autor.

Siedlecka Szkoła, druchu miły,
Nieraz się zjawiasz w mojej duszy
Gdy lecę w nicość, tracąc siły
Jak pocisk wyrzucony z kuszy.

Co z dołu pędzi dumnie w chmury
I z szumem dąży wciąż ku słońcu,
Potem opuszcza nieb lazury,
By utkwic — w ziemi znów na końcu.....

Czy pamiętacie, Bracia mili,
Jakośmy Polskę sobie śnili
W naszych rozmowach potajemnie?
— O, gnębił carat nas daremnie!

Lecz nie mógł tego nikt przeczuwać,
Że jeszcze walczyć będziem za Nią,
Z wojenką za Kraj życie skuwać,
Którą zwie żołnierz — swoją Panią.

Kto myślał, że mu los da w dani
Wyruszyć w bój za Kraj kochany
— „Wojenko“, nucąc, „dziwna Pani!“.....
Choć już nie — „chłopiec malowany“.....

Kolegów żegna dziś dziad jary,
Co w Siedlcach deptał bruk w mundurze,
Wpierw — uczeń, potem — żołnierz stary,
Co szeptał: „Polsko, tobie służę!“

Żegnajcie! A gdy się spotkamy
W eterze czy w fluidzie lotnym,
O miłych Siedlcach pogadamy
W przestworzach — wirem mknąc zawrotnym.

Baciki, 16 grudnia 1925 r.

Dr. Marcin Garbaczewski

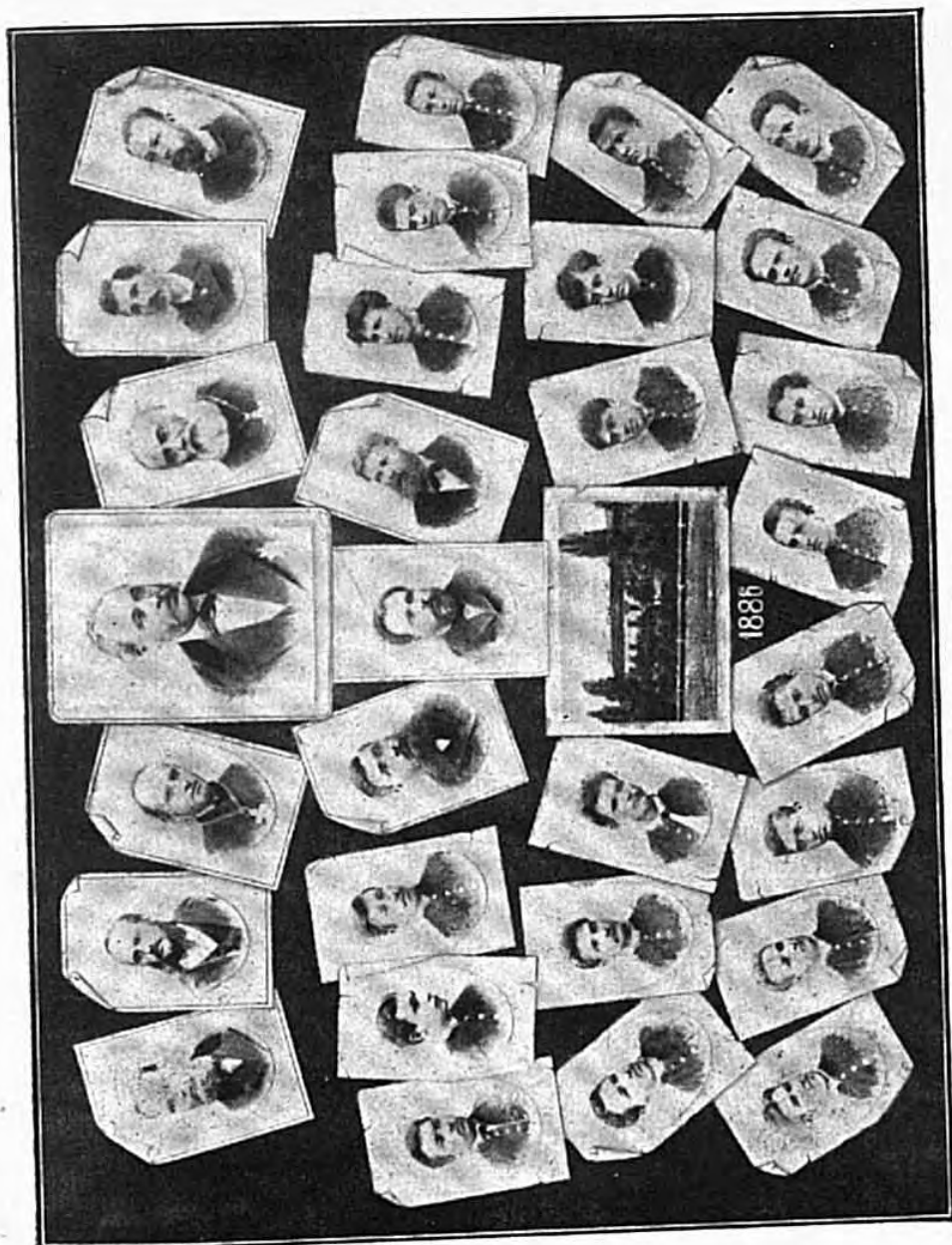
WSPOMNIENIA Z GIMNAZJUM ROSYJSKIEGO W SIEDLCACH

(1879 — 1890)

W sierpniu 1879 r., składając egzamin do klasy wstępnej, nauczyciel Solskij kazał mi przeczytać jakiś urywek z wypisów rosyjskich p. t. „Młyn” i niektóre zdania objaśniać. Pamiętam, że przeczytałem zdanie takie: „a woda ljetsia kak z uszata”. Nie rozumiałem wyrazu „uszat”, wtedy więc Solskij rzekł do mnie: „a woda leje się, jak z cebra”. To zdanie, wygłoszone przez nauczyciela-rosjanina po polsku do ucznia, było jedyne, jakim usłyszałem podczas 11 lat pobytu w gimnazjum Siedleckim.

Po egzaminach skończonych zacząłem kręcić się po korytarzu i rozmawiać z innymi, wtedy pedel Romanskij (nazwę mający przez uczniów „Śliwka”) wziął mnie za ramię i wskazał palcem ogłoszenie rosyjskie na ścianie korytarza I. piętra: „nie wolno mówić po polsku”.

Klasa przygotowawcza mieściła się w jednej z kamienic przy ul. Warszawskiej, obok gmachu Dyrekcji Tow. Kredyt. Ziemsk., gdyż w gmachu gimnazjalnym było brak miejsca. Nauczyciel Gołoborodko prowadził sam jeden naukę w klasie wstępnej, był on może jedynym człowiekiem w gimnazjum Siedleckim, który dbał o rozwój fizyczny i umysłowy swoich uczniów, gdyż codziennie podczas pauz wychodził z nami razem na spacer za miasto, t. j. na szosę warszawską za przejazd kolejowy lub na plac wojenny vis-à-vis więzienia, gdy było zimniej na dworze. Słabszych



Maturzyści 1886 r.

Walenty Antoniak, Stanisław Godlewski, Michał Perzanowski S. Durnowo, Feliks Rozwadowski, Antoni Geñjusz, Bolesław Jakimiak, Bolesław
 Dębiński, Edward Deszczyński, Bronisław Okołowicz, Wacław Kalinowski, Rościszewski, Eustachy Eglerdorff, Stefan Rabczyński, S. Sierbrannikow,
 Witold Kasperowicz, Stanisław Krzemienlewski. Nauczyciele: Świrniak, Redko, Ks. K. Szyszowski. Dyrektor Ponomarow, Pop Czamow, Wojnow.
 Lebrun, Solski, Inspektor Sotulczewski i Terplowski.

w nauce chłopców wzywał do siebie w niedzielę i przerabiał z nimi różne zadania i rozbiory gramatyczne.

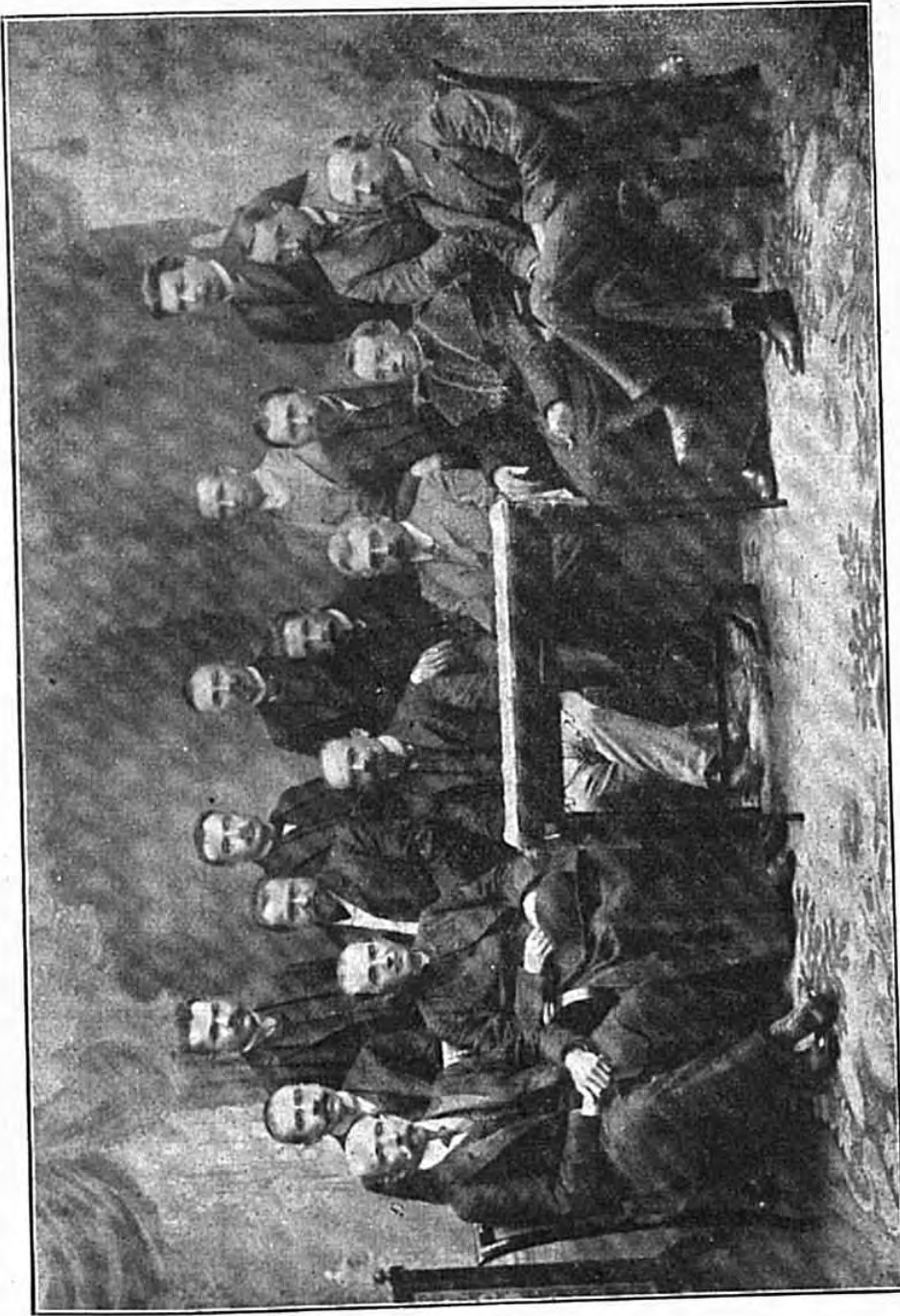
W jesieni 1886 r. uczeń klasy IV Majewski urządził po cichu wielką zabawę „gra w wojnę” na polach między szosą zbuczynską a łukowską; zaproszeni byli tylko chłopcy pewni, lecz ktoś o tem doniósł dyrektorowi, który organizatora tej zabawy wsadził do kozy pod schody gimnazjalne, a potem Majewski musiał gimnazjum opuścić z racji różnych prześladowań.

W latach 1880—1888 dyrektorem gimnazjum był Ponomarow, znawca greckiego; inspektorem zaś był Piotr Sotniczewskij, wykładał on język rosyjski i geografję Rosji. Grzegorz Solskij (późniejszy inspektor gimn. w Siedlcach, a następnie mianowany dyrektorem w Białej Podlaskiej) wykładał historję i literaturę rosyjską; Jakób Groszkowski — język grecki i łacinę; Siergiej Iwanowicz Palicyn — łacinę; Konstanty Kułakow — matematykę i fizykę; Iwan Iwanowicz Swirniuk — język niemiecki; Franciszek le Brun (przybyły z Paryża po wojnie francusko-pruskiej) wykładał język francuski, syn jego jest obecnie nauczycielem w Lublinie (szkoła realna).

Po wyjeździe nauczyciela Brun'a do Warszawy, wykładał język francuski niejaki Hirszfeld. Prefektem szkolnym był ks. Konstanty Szyszkowski, który zmarł w Lublinie dnia 20 stycznia 1924 r., przeżywszy lat 82 i zapisawszy przed śmiercią Lubelskiemu Tow. walki z gruźlicą swój majątek Łukawkę, położony w pow. Puławskim, obszaru 45 morgów z parkiem i budynkami.

Popem zaś szkolnym był po Czamowie Mizieckij. Nauczycielami w gimn. Siedleckim byli jeszcze: Sierocińskij (łacina), Siemiradzki (łacina w klasie I w r. 1880 — 81), Szymanowski (łacina), przewany przez uczniów „baba”. Redka, Terpiłowski (matematyka), Koladyńskij (matematyka) zmarł na suchoty płuc, i inni.

W roku 1889 przybył do Siedlec z Płocka nowy dyrektor Abramowicz, który słynął z wylapywania bibliotek uczniowskich.



Zjazd kolegiów z roku 1886 w roku 1911

Siedzą: Dr. Wiktor Zakrzewski, Ks. prałat Ignacy Kłopotowski, Stanisław Krzemiński, Antoni Wojski, Biskup Adolf Szepietek, Dr. Bolesław Jakimiak. II-gi szereg: Dr. Aleksander Białobrzęski, Kazimierz Pruski, Bronisław Skibiński, Dr. Stanisław Wielew. III-gi szereg: Inż. Mieczysław Wronski, Jakób Jędrzejewski, Dr. Józef Geisach, Witold Folkowski.

W dniach 20 — 21.VI.1890 r. siedzieli w kozie koledzy: Kuropatwiński, Krzemieniewski i jeszcze 2 — 3 (nazwisk nie pamiętam) za przejęcie z Warszawy tematu maturalnego z rosyjskiego przed 12 maja n. st. i za udzielenie tej wiadomości innym kolegom.

W dniu 22.VI (niedziela) była koza 12-godzinna dla tych, co dobrowolnie chcieli siedzieć: zjawilo się nas około 15 do dyrektora Abramowicza (między nami był i syn gubernatora siedleckiego Michał Subotkin), prosząc, aby nas kazał zamknąć też do kozy, na co zgodził się z trudem i polecił woźnemu dać nam wiaderko wody i 3 bochenki chleba razowego-żołnierskiego.

W dniu 24 czerwca 1890 r. wydano nam patenty dojrzałości przez sekretarza gimnazjum, bez żadnych uroczystości szkolnych i pożegnań z nauczycielami.

Następnego dnia odbyła się uczta koleżeńska.

Lublin, dn. 3 lutego 1926 r.

Dr. Aleksander Kuropatwiński

(1882 — 1890).

Incipiam! quamquam animus meminisse horret luctuque
refugit.

Do gimnazjum siedleckiego zostałem przyjęty w sierpniu 1882-go roku do I klasy po egzaminie konkursowym, do którego dopuszczonych zostało około 80-ciu kandydatów na 13 miejsc wolnych. Z tych, którzy razem ze mną zdawali, pozostał mi w pamięci Dominik Kuć, brat Józefa, obecnie proboszcz jednej z parafji w Lubelszczyźnie. Wpisowe wynosiło wtedy 6 rubli rocznie, rozłożone na 2 raty półroczne; przez 8 lat mego pobytu w gimnazjum siedleckim wpisowe z 6 rubli rocznie doszło do 29-ciu.

Języka polskiego w gimnazjum siedleckim oficjalnie za moich czasów już nie było: jedyny prefekt ks. Brzozowski na lekcjach religji rozmawiał z nami po polsku, chociaż podręczniki do nauki religji mieliśmy w języku rosyjskim. Były wspomnienia, że ostatnim nauczycielem języka polskiego w gimnazjum siedleckim był Iwan Iwanowicz Swirniuk, rusin galicyjski, osobistość dla owych czasów bardzo charakterystyczna, przeto uważam za stosowne zatrzymać się nad nią dłużej, by się ujawniło, że mianowanie go nauczycielem języka polskiego było złośliwą szykaną dla tego przedmiotu nauki ze strony sfer kierowniczych, które za to mianowanie ponosiły odpowiedzialność. Małego wzrostu ze szpakowatą krótko ostrzyżoną brodą i takąż czupryną, w niebieskich okularach, trzymał się prosto, jakby kij połknął, chodząc po korytarzu i pilnował porządku, gdyż był

tak naówczas zwanym „pomoszcznikom klasnych nastaw-
ników“, a „klasnym nastawnikom“ był jeden z nauczycieli,
osobny dla każdej klasy, który miał daną klasę w specjalnej
opiece i był dla niej niejako patronem w radzie pedagogicz-
nej. Fama sztubacka niosła, że Iwan Iwanowicz był bracisz-
kiem w jakimś klasztorze unickim, dla kariery życiowej
przyjął prawosławie i z tego tytułu kolejno piastował god-
ności nauczyciela języka polskiego, a po skasowaniu tego
przedmiotu nauczyciela łaciny w klasach niższych, a gdy
i na tem polu wykazał swą nieudolność został nauczycielem
języka niemieckiego i owym pomocnikiem gospodarzy kla-
sowych. W tej fazie zastałem go wstępując do gimnazjum
siedleckiego. Nienawisć pomiędzy nim, a uczniami klas
wyższych była wzajemna: dla niego uczeń był „kanalją“,
co w jego bezzębnych ustach brzmiało jak „chanalja“ z ak-
centem na pierwszej sylabie; mózgi zaś sztubackie wysiły
się na tysiączne wyrządzone mu psoty; opowiadano, że pod-
czas odwiedzin stancji uczniowskich zastawiono na niego
pułapkę, polegającą na tem, że przed spodziewanem jego
nadejściem otwarto drzwi do piwnicy, znajdujące się za pro-
giem tuż przy wejściu; nieborak wpadł do piwnicy, poczem
iraczej nie chodził po stancjach jak z latarką i w dodatku
z psem, którego puszczał naprzód. Dewizą jego było: „ty
tak zubri niemieckije słowa, człoby mózg u tiebia wysoch,
a gołowa łopnuła“ (co po polsku oznacza: „tak wkuwaj
siówka niemieckie, by mózg ci wysechł i głowa pękła“).
Że sam głosiciel tego hasła był niezbyt daleki tego stanu,
miałem sposobność przekonać się w kilka lat później, gdy
jako uczeń VII klasy mieszkałem na stancji u p. Kamińskiej
po sąsiedzku z Iwanem Iwanowiczem, pociągniętym na on
czas do egzaminu kwalifikacyjnego z języka niemieckiego;
zadano mu przygotować rozbiór gramatyczny utworu wier-
szowanego; wezwał mnie do siebie pod sekretem w charak-
terze korepetytora: „podleżaszczaje“ (przedmiot) i „ska-
zujemoje“ (orzeczenie) jakoś zmieściło się w głowie Iwana
Iwanowicza, ale po zatem ani rusz dalej; odróżnić „dopał-
nienja“ (wyraz określający) nijak nie mógł; po daremnych

wysiłkach dla zrozumienia tej filozofji przedsięwziętych ex consilio uradziliśmy: nad wyrazami dopełniającymi postawić ołówkiem jedną kropkę, nad wyrazami określającymi dwie. Tak ubezpieczony Iwan Iwanowicz poszedł na egzamin i oczywiście zdał tenże, gdyż długie lata potem był nauczycielem w gimnazjum siedleckim. Osiedliwszy się w Siedlcach w 1906-ym roku w charakterze lekarza wolno-praktykującego, po powrocie do kraju z gub. Permskiej, zastałem Iwana Iwanowicza na posadzie nauczyciela gimnazjum, piastującego godność „zasłużennawo prepodawatielela“. Trzeba było aż zawieruchy wojennej 1914-go roku, by tego „męża sztandarowego“ systemu Apuchtinowskiego zmieść z horyzontu siedleckiego. Zmarł w Rosji w 1920 r.

Zapewne u bolszewików miał posadę wielkiego „spieca“ (specjalisty) do spraw pedagogicznych, gdyż pomimo swych skromnych nazbyt kwalifikacji pedagogicznych miał niezaprzeczenie jeden talent: umiał przypodobać się ludziom wpływowym, czego cała V klasa była świadkiem, patrząc, jak Iwan Iwanowicz składał głęboki pełen uszanowania pokłon przed zamkniętymi drzwiami po odejściu dyrektora Ponomarowa i słuchając jak ten że Iwan Iwanowicz, gdy mu na lekcji syn gubernatora Subbotkina, znęcający się nad nim, bijąc pięściami w ławkę w przystępie natchnienia łobuzerji zaśpiewał na głos „Mein liber Augustyn!“ — wpadł z ordynarnem łajaniem nie na sprawcę skandalu, którego się bał, jako syna gubernatora, a na Bogu ducha winnego najskromniejszego i najcichszego z całej klasy Jasia Moczulskiego, gdyż wiedział, że ten mu pięknem za nadobne nie odpłaci.

Jeżeli pomimo tych wprost gorszących wzorów, a Iwan Iwanowicz nie stanowił bynajmniej wyjątku, raczej było przeciwnie, wyjątek stanowili ludzie wartościowi, budzący szacunek u uczącej się młodzieży, — młodzież gimnazjum siedleckiego „wychodziła na ludzi“, to okoliczność tę inaczej wytłomaczyć sobie nie umiem, jak tem, że te gorszące i paczące charakter młodzieży wzory były dla tej młodzieży rodzajem antygenu, że użyję tu terminu z teorii chorób

zakaźnych, tem czemś, co wpływało na rozwój pojęć wprost przeciwnych tym, jakie usiłowano wbijać w nasze głowy.

Drugim antypatycznym typem, do Iwana Iwanowicza zbliżonym, nie wyglądem zewnętrznym zresztą, bo był to człowiek wysokiego wzrostu, o czarnym zaroście, i zbójcekim wyglądem, następca Dyrektora Ponomarowa, Abramowicz: kończyłem przy nim VII klasę i przeszedłem VIII. O ile dla Iwana Iwanowicza miałem w sercu niejaką litość z powodu tych psot sztabackich, jakich był ofiarą, o tyle wprost panicznie bałem się Abramowicza.

Opowiem tylko jeden epizod z Abramowiczem.

Po lekcji gimnastyki, w której brały udział VII i VIII klasa, Abramowicz kazał stanąć katolikom po stronie lewej od siebie, prawosławnym po stronie prawej, jedyny ewangelik Edward Strumpf stanął pośrodku między tymi dwiema grupami. Wtedy Abramowicz rozpoczyna przemowę tej treści: gimnazjum siedleckie jest na ziemi ruskiej i istnieje dla rosjan i tylko dla rosjan, jeżeli przyjmują do niego polaków, to tylko z łaski. Z zaciśniętymi zębami i pięściami wróciliśmy do klasy i w klasie zaległa cisza, jakby kto makiem zasiał; czułem wtedy, że słowa pokryjomu pochłanianych „Dziadów“: „Ach zemsta, zemsta, zemsta na wroga!“ były tą melodią, która najbardziej trafiała mi do przekonania i był to taki moment, że gdyby ktoś krzyknął: „prac móskali“ z 5-ciu kolegów rosjan naszej klasy zostałyby tylko strzępy. Pamiętam, że to przemówienie Abramowicza popsuło zgodne pożycie nas polaków z kolegami rosjanami; przypadło ono jakoś na początku urzędowania Abramowicza i chociaż późniejsze przeżyte wspólnie prześladowania i kosa za wykorzystanie i udział w wykradzeniu tematów na egzamina maturalne, zatarły to wrażenie wzajemnej nienawiści, jaką owo przemówienie wzbudziło, to jednakowoż wzajemna nieufność stała się tonem zasadniczym naszych polsko-rosyjskich stosunków. Na Abramowiczu zemściliśmy się w ten sposób, że na fotografii koleżeńskiej umieściliśmy pośrodku nie jego, a jego poprzednika, na on czas już nieżyjącego Ponomarowa.